http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Leon Chomiński

Suzanna

http://rcin.org.pl

ZUZANNA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

LEON CHOROMAŃSKI

ZUZANNA

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-68, 26-52-31 w. 42

1911
WARSZAWA — G. CENTNERSZWER I SKA.
LWÓW — H. ALTENBERG.

http://rcin.org.pl

Fundacja im. J. J. Michalskich
Ze zbiorów

Okładkę rysował Edward Trojanowski.

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

478

http://rcin.org.pl

ZUZANNA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

dwija wstęgi sandałów. Mówi:

— O, jak piękne są moje nogi! Piękniejsze, niż nogi Racheli, Sary, Lii i Miriam! Piękniejsze nad kwiaty skalne, nad róże dolin! Piękniejsze nadewszystko! O, jak lubię patrzeć na nie, dotykać ich i głaskać! O, chcę je całować!

Schyla głowę, całuje swe kolana. Włosy usuwają się z jej głowy i zasnuwają ją ciemnym płaszczem, tak, że nie widać twarzy:

— Ach, co to spadło na mnie? Miękkie i ciepłe i czarne! To moje włosy! O, jak mi gorąco pod niemi i jak mi ciemno! Ach, tak, już wiem! Jestem piękniejsza niż noc. Straszna jest noc, boję się nocy. Jest tak czarna i tak ogromna. Czy ja wiem, co ona niesie w kruczych otchłaniach... Może dziwy potwory, śmierć samą — miriady kształtów, czyhających na struchlałe serce. Widziałam raz w ciemności parskającą głowę konia i harfę. Grała harfa w ciemnościach... Bez rąk! Bez rąk! Dłonie odcięte fruwały za mną, chwytały mnie za włosy... Kiedy idę po nocy, nie wiem, czy nie osunę się w otchłań, czy nie zapadnę z krzykiem. Jestem pewnie biała wtedy jak śnieg na Libanie. Blizkam płaczu, śmiechu, rozpaczy, szału... Tulę ręce do łona i rozprężam je, jak teraz...

http://rcin.org.pl

Wyciąga ręce. Blask dnia wpada pod płaszcz włosów. Zuzanna wychyla twarz roześmianą:

— Ach, już wiem! Noc jest straszna, ale jakże piękna! A ja, Zuzanna, straszniejsza jestem i piękniejsza od nocy!

Odrzuca włosy. Zbliża się do sadzawki. Dotyka wody stopą. Ryba podrzuca się i błyska w słońcu:

— Co to? Ach, czerwona pletwa ryby!... Jak kwiat maku, jak płomień! Pamiętam... tę noc, gdy zapląsały płomienie olbrzymie jak cedry o purpurowych czubach... Rozlała się łuna i na widnokręgu kipiała szkarłatem, jak gdyby wracało przerażone słońce. O, ta szatańska radość bursztynowych ogni i jęki bladych biedaków! Jak droga w dalekie miasto wąż dymu, pryskając czerwonemi skrami, toczył się i przelewał. Pełzł w ciemności ku czatującej gardzieli nocy. A żużle fruwały jak czerwone ptaki! Ach, jak pląsały cienie ogromne i rozwierały paszcze! Wybiegłam na ulicę. Noc i pożar rzuciły się na mnie szarym mrokiem i czerwonym blaskiem. Skoczyły mi do gardła i powaliły mnie. Chłonęłam ze zgrozą głuche, czające się milczenie nocy i suchy ryk płomieni...

Dotyka piersi:

— Piersi mam gorące... Już wiem! *(Śmieje się radośnie).* Kobieta-Zuzanna straszniejsza jest i piękniejsza od pożogi!... *(Zamyśla się).* Czyżbym chciała żreć i trawić, jak płomień?!

Pogrąża się w wodę z rękoma przy piersiach. Patrzy naokół i w górę. Winogrona, nalane złocistym moszczem, zwisając ciężko w dół, pławią się w słońcu.

http://rcin.org.pl

Powietrze jest duszne. Omglone, szafirowo senne niebo przeszywa nagle rzut błyskawicy:

— Ach, zlękłam się... Jak ręce moje błysnęły liliowo!... Na chwilę poczułam się dzieckiem... Ach, strasznie bałam się burzy, gdym była mała! Rozwierały się niebiosa, rude od gniewu i chmury trzęsły. O, jak warczała ulewa! Piorun huczał zrazu, jak krocie kotłów wojska na górach, a później z olśniewającym łoskotem pękało niebo. Szaleństwo piętrzyło się od ziemi do chmur. Łamało się wszystko i leciało w białą, zionącą otchłań. Czułam, jak zgaszone gwiazdy spadają żałośnie, a zdmuchnięty księżyc leci jak ciśniony z procy. Jęczały cedry. Wiatr porywał ich płacz w noc, buchającą błyskawicami. Chciałam być mniejsza, coraz mniejsza, zalśnić światłem i zniknąć z przed straszliwego oka burzy! Tak się bałam! A teraz nie... Ach, jakże jestem spokojna! *(Śmieje się)*. Straszna jest burza, ale kobieta-Zuzanna straszniejsza jest od burzy i piękniejsza!

Śmieje się i przegląda w wodzie:

— Z oczu tryska mi ogień, zęby lśnią, wargi wołają czerwono. Piękniejsza jestem od towarzyszek moich — Racheli, Sary, Lii i Miriam. Pokłonię się sobie. *(Kłania się i ze śmiechem rzuca w głąb wodną)*. Zburzyłam siebie... Teraz czekam, aż wrócę... Fale się kładą, wygładzają, cichną... Znów jasna głąb. I znowu tam jestem. Jak ja tam żyję! Rzucę się, aby uścisnąć tamtę, objąć rękami, wynieść na powietrze...

Rzuca się na swój obraz w wodzie i zanurza z głową. Po chwili ukazuje się znowu:

http://rcin.org.pl

— Jestem szalona! Chcę mieć siebie po tysiąc razy! O, gdyby tak zatańczyć wśród zwierciadeł i złotych lamp!...

Marzy o tańcu. Ujmuje ciężkie, ociekające włosy i okręca je na głowie. Potem wybiega po marmurowych stopniach. Owija się w lnianą tkaninę:

— Jak cicho naokół. O, jak mi chłodno i błogo! Teraz spojrzenie moje jest jak białe grono konwalii. A po ramionach błądzi połysk, jaki ma świeżo odarty z łupiny, wilgotny owoc migdału. A myśli moje? Jedne powiewają w duszy jak wiaterek... A inne przechadzają się jak pawie między narcyzami.

Z poza zielonej opony ukazuje się dwóch starców. Skradają się. Wyciągają ręce. Dotykają jej.

Zuzanna zwraca się gwałtownie. Twarz jej pała zgrozą. Piersi dyszą.

Starcy. *(Oczy mają rozszerzone, szczęki opadłe, ręce im drżą).*

— Zuzanno!

Ciało Zuzanny pokrywa się złotawym rumieńcem. Oczy wilgotnieją jakby we łzach, a po chwili buchają suchem światłem.

Starcy jękliwie:

— Zuzanno!

W głębi jej źrenic wstaje ciężki, ołowiany mrok. W milczeniu władnym giestem wskazuje im drzwi.

Obaj złamani, pochyleni, jakoby postarzali jeszcze, cofają się chwiejnym krokiem, szukając wyjścia, jak po omacku.

Zuzanna (sama):

http://rcin.org.pl

— Piękniejsza jestem od burzy, pożogi i nocy! Ach, ta żółta, rzygająca mgła w ich oczach! Ach, to lepkie, zwiędłe dotknięcie ich rąk. *(Zamyśla się).* Już wiem... Pójdę marmurowemi schodami na szczyt wysoki, na wieżę, zaglądającą w źrenice gwiazdom. Tam będę miała nizko pod sobą cały ten ród brodaty. Na amarantach oprę nogi i mocarzom dam całować ich palce. Każę płynąć koło siebie strugom złota. Każę zakwitnąć ogrodom... Ach, jak one będą powiewać i pachnąć w noce księżycowe! *(Marzy):* Będę słodka, tajemnicza a okrutna jak burza, noc, ogień i śmierć...

Podnosi ramiona. Osłona z niej spada. Staje silna i jasna w promieniach słonecznych:

— Tak to ja chcę walczyć... A z kim? *(Radośnie)* Z wiekuiście rodzajnem słońcem!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SEMIRAMIS.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

łoto błyszczy jak dawniej, gdym była dziewicą i piersi me nabrzmiewały. Fala pluszcze w sadzawkach. Ryby wzbijają się i podnoszą czerwone pyski. Woda rozwiewnym srebrem spada z marmurowych gardzieli. Moje lwy i byki kamienne mają te same jasne oczy z agatu. Nic się nie zmieniło, choć upłynęły lata od chwili, gdy raz pierwszy objęłam szyję męża. Słońce mnie kocha. Od niego mają me włosy blask złocisty. Noc mnie kocha: chłonę lśnienie gwiazd i przez dzień cały gwiazdy śnią w mych źrenicach. Woda mnie kocha i daje biodrom mym srebrzystą jasność wodospadów. Ogień mnie kocha, mieszka we mnie, jak w świątyni, a trawi tych, co mnie pragną i którzy mnie poznali. Powietrze mnie kocha. Przez nie me usta świeże są, jak dzikie maliny w parowach. O, dzięki życiu za to, że żywioły są sługami moimi! Po kwiatach kroczę stopami ze złota, po kobiercach stąpam z purpury i zorzy.

Ach, słońce moje coraz wyższe jest i coraz dumniejsze!

Złoty rząd komnat czeka na mnie... Lampy płoną jaśniej, gdy wchodzę. Posągi szepcą, gdy idę przez taras w świetle księżyca. Słyszę poza sobą westchnienia. To perły i ametysty wzdychają. Tak

http://rcin.org.pl

tęsknią do mnie... Pragną, bym wzięła je na piersi, chcą śnić w mych włosach, całować szyję, oplatać ramiona i kostki nóg. Zwierciadło chciwie mnie pochłania. Ach, jakże chce wypić ono krew mych ramion! Purpura drży i mieni się, gdy koniuszkami palców jej dotknę...

A mój lew płowogrzywy tak zazdrosny o mnie! A mój niewolnik kocha mnie! Klatkę miedzianą dałam mu za mieszkanie. Wśród upajających, ciężkich kwiatów i wodotrysków. W cichą północ schodzę do niego z pochodnią. Pytam: „Czy chcesz być wolny, a nie widzieć mnie?“ Odpowiada: „Nie chcę. Wolę nie widzieć już nigdy słońca, ani nie dotknąć bladych ust moich dzieci, spłodzonych z inną, bylem ciebie widział“. Rozplatam włosy i hijacyntowa opada chlamida. Tańczę. A on pożera złocistą radość ciała, które jest moje, dalekiemi usty spija czar wezbranych piersi. I w chwili, gdy mnie najsrożej pożąda, jak nikt inny nie pożąda innej w tę północ głuchą i uroczystą, gdy krzyczy nabrzmiałemi usty, rzucam mu uśmiech najgorętszej mojej piękności. Odchodzę cicha. I zasypiam lekko, jak dziewica, oparłszy stopy o grzywę mojego lwa.

Ale gdy zawisam pomiędzy jawą a snem, jak krwawa gwiazda, co zagląda w okno o północy, schodzi do mnie płomienne marzenie i nęci mnie czerwona otchłań.

Niewolnik mój idzie po drogach ogrodów olbrzymich, jak wiszące w obłokach miasto. Kazałam wysłać drogę do siebie purpurą. Kocham go jak królowa. Ciało, które jest moje, jemu oddaję. A za

http://rcin.org.pl

podwojami ze spiżu pomrukuje lew. Nozdrza jego dmuchają groźnie w szczelinę dźwierzy, język skomli żałośnie. A czerwona noc rozkoszy biegnie... Świta dzień. Wychodzę z łoża. Zasłaniam łono. W brzaskach zorzy wstyd zagląda przez okno. Wracam do mojego lwa. Nie chce patrzeć na mnie, jak król cierpi, a panuje nad sobą. Cicho wkładam stopy w złotą grzywę i patrzę sama. Milczący kolos dumy błądzi w zielonej pustyni jego źrenic. Krew krąży i krzyczy mi w żyłach, czerwone płomienie biją z mych oczu w oczy lwa, którego kocham wtedy jak dziecko moje i jak kochanka mego. On pyta mnie. Odpowiadam: Tak. Wstaje, złotawe jego cielsko pręży się dreszczem rozkoszy. Wychodzi, stąpając, jak cień. Patrzę z za uchylonych drzwi... Idzie wolno, obojętnie, ze sparaliżowaną wściekłością w łonie. Nachyla się i wącha twarz niewolnika. Nozdrza jego poczynają drzeć. Nalewają się krwią. Nagle straszliwy grom gniewu! Roztwiera paszczę i wnet odgryza struchlałemu twarz. Ścina, jak piłą, przednie pół głowy.

Wtedy wchodzę ja, Semiramis, a przy mnie blady, wyniosły Cień Zgrozy. Z kipiącem sercem patrzę na okropną ranę martwego, schylam się i maczam białą chustę w jego krwi, a potem wącham, i tę chustę, od krwi ciężką, rzucam w płomienie.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

JUDYTA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Dwóch tęgich drabów w misiurkach na łbach kudłatych prowadziło ją przez pola, nad któremi mroki zaległy. Odczuwała miękką stopą każdy krzemień na ścieżkach, wzdłuż których osty chwytały ją kolcami za poły białych szat.

Naokół milczenie smutku, oczekiwania, bezkresu. Niebo zeszło niżej i oczy gwiazd patrzą w pagórki.

Tylko ciężkie kroki zbirów, oddech chrapliwy szerokich piersi, czasem szczęk miecza lub błysk oczu, małych, świecących wzgardliwie w głębi ciemnych twarzy.

Więc to ona? I cóż znaczy ta podróż nocna? Czy przewidywała ją kiedykolwiek w snach dzieciństwa i dziewiczości. Więc to ona?

Białe suknie spływają miękkiemi zwojami. Serce roi o dniach ubiegłych:

— Judyto! Judyto!

Ten głos przybiegł z kresów, śpiących w ciemności. Ten sam nadzwyczajny smutek i przywoływanie. Jak tyle już razy w życiu!

Mała, wąska ulica z kopcem zielonym u końca. Ileż razy widziała, jak słońce zniżało się i spadało na kopiec niby olbrzymie, czerwone jaje. Pląsało

http://rcin.org.pl

na płaskich dachach, zalewało oddrzwia i wnęki murów rozedrganą różową cieczą.

A gdy znikało, z za wzgórz, z poza szeroko rozlanej rzeki, za którą step się ciągnął i krążyły sępy, leciał głos i wezwanie:

— Judyto! Judyto!

Wtedy niemiała. Zabawki dziecięce wypadały jej z rąk i otaczało tchnienie samotności, jak bór drzemiący na słońcu.

Ten głos ją wzywał tyle razy! W nocy wśród wielkich ciemności słyszała, jak skarżył się cicho: Judyto! A gdy przejeżdżał żołnierz w błyszczącym szyszaku i na tarczy lśniło światło, jakby niósł słońce, słyszała wołanie:

— Judyto! Judyto!

I później, gdy biegła, odsłaniając w szybkim ruchu kolana piętnastoletniej piękności, aby w pachnącym, zielono-złotym szumnym gaju oliwek pogrążyć wraz z innemi dziewczętami nogi w pląsającym między drzewami potoku, znów głos się rozległ:

— Judyto! Judyto!

Zatrzymała się, podczas, gdy jej towarzyszki wesoło wbiegły między oczekujące je drzewa; ona została sama na drodze, nie wiedząc, dokąd ma obrócić wielkie zdumione oczy.

Podniósł się wiatr. Smutne ugięły się trawy. Połyskliwa, zadumana woda okryła się płaszczem ze srebrnej łuski. I ktoś, miękko ujmując ją za suknię, zaszemrał:

— Judyto! Judyto!

http://rcin.org.pl

A gdy usiadła na złomach starego granitu, na rozsypiskach szaro-zielonych, które zalewało światło księżyca — martwe i nakazujące wszystkiemu milczenie — jęknęło znów wołanie, jakby z piersi konającej od wielkiej tęsknoty:

— Judyto! Judyto!

— — — — — — — — — — — —

Holofernes był wielki gruby zlepek dumy nieznośnej, chuci i okrucieństwa. Gdzie spojrzał, kołysały się jak liście na wietrze upiory krwawych ciał, pomordowanych z jego rozkazu, dla jego dumy, gniewu lub kaprysu.

Lecz Judyta? Olśniła go tak, że stał się miękki jak żelazo w ogniu. Do stóp jej przygiął głowę, pochylił się i uznał, że piękniejsza jest i mocniejsza.

Ciemności kłębiły się w duszy Judyty, gdy oddawała ręce pieszczotom Holofernesa. Obracała je w różne strony — małe dłonie białe jak gołębie, aby na każde miejsce wziąć kroplę waru i trucizny.

Śmiała się cicho, wahała się i czekała. Śniła, że ktoś otwiera i zamyka drzwi tajemne, że ktoś się błąka w cieniach i zwaliskach umarłego miasta. Widziała to ogród w owocach i słońcu, to morze w burzy. To była na szczytach jaśniejącego tronu, to się błąkała we łzach, najbiedniejsza ze wszystkich i opuszczona.

Aż zmęczyła się jej dusza od tej rozterki. Cichym, szukającym obrony wzrokiem spojrzała na Holofernesa.

http://rcin.org.pl

I widziała, jak w głębi ciemnych, okrutnych oczu wstaje promienna gwiazda. A po chwili gwiazda zagasła niemo, jak lampa przy łożu konającego, i ujrzała tam człowieka. Siedział z głową ujętą w dłonie, objęty cierpieniem i nocą. Poruszyły się usta, zapytały:

— Któż ja jestem? Po co lałem krew? Czy nie lepiej nie krwią zalewać miasta, lecz radością?

Ale kiedy wódz zasnął, zniknął czar. Wyzwolona z przemocy mgieł, kuszących obietnic, oczekiwania i zadumy, innemi spojrzała nań oczyma: obcy był i nienawistny.

Przysięga straszliwa huczała jak dzwon miedziany i wył głos macierzystego miasta.

W ostrej błyszczącej klindze miecza, zawieszonego niedbale na czerwonych rzemieniach, błysnęło dla oczu Judyty wyzwolenie.

On spał.

Ciężki, gruby, chrapliwy. Warczał, jakby się spierał z cieniami pomordowanych.

Ujęła miecz.

Ze wszystkich stron, jakby z tysiąca ust rozwartych na kresach widnokręgu, wzniósł się okrzyk pełen strachu, pełen żałoby i przestrogi:

— Judyto! Judyto!

Miecz opadł z brzękiem na posadzkę.

Holofernes poruszył się i warknął złowrogo.

W niemem osłupieniu patrzyła na swe ręce, stopy i na szyję Holofernesa.

Cicho oderwał się od jej szat i stanął przy niej czerwony Upiór krwi. Spojrzeniem oczu, w których

http://rcin.org.pl

lśniły białe zimne białka, kazał jej podnieść oręż przeciw Holofernesowi.

Wzniosła po raz wtóry miecz. Poczuła krzepkość ramion.

Ze świstem spadł brzeszczot. Krew chlusnęła z odciętej głowy. Z kurczącej się szyi bluznął okrzyk:

— Judyto!

— — — — — — — — — — — —

O, czy spodziewała się kiedy w dniach wesołości dziecięcej, w dniach dziewiczych śpiewów, że będzie biegła wśród pól nocnych, w takiej strasznej stojących ciszy.

Daleko już za sobą zostawiła wrogie namioty. Nie słyszała kroków, bicia serca, szelestu trawy, ani dźwięku rogów strażników, czuwających na murach.

Siklawa rzucała się stromo ze skał. Lecz skłębione piany były nieme.

Cisza aż po ostatnie kręgi stworzenia, na ziemi i na gwiazdach.

Cisza wód, drzew i miasta... Głucho rozwarły się wrota i jak niema paszcza pochłonęły Judytę.

Słońce, gdy wróciło, zastało ją w ciężkiem milczeniu, zasłuchaną w martwą głowę Holofernesa na złotej misie.

— — — — — — — — — — — —

Dźwięki trąb, rogów, gęśli i piszczałek drą powietrze. Chorągwie wysokie, buńczuki kolorowe, jaskrawe wycie gongów, wrzask niecierpliwy bębna!

Tłum kipi... Mężczyźni, kobiety, dziewice, dzieci.. wołają:

http://rcin.org.pl

— Hosanna! Hosanna!

Palmy powiewają... śpiewy chwalebne...

Każdy chce spojrzeć w jej twarz bladą i martwe usta.

O, nienawistny klekot i głupota tłumu! Oklaski głupich rąk i rżenie gawiedzi, że on — Holofernes — nie żyje.

O straszny, wściekły jak ukrop krzyk na jej cześć:

— Hosanna! Hosanna!

O, gdyby znów rozległo się to czyste, samotne wołanie! Ale cisza — poza zgiełkiem kłótliwym — na wieki cisza... Milczą pagórki, gwarna umilkła tęsknota.

Siedziała na purpurze. Nad głową jej błyszczały gwiazdy. Włosy miała w różach, któremi lud je ozdobił.

Ale któż pojmie serce Judyty, pełne obłędu i nieskończonej żałości, osierocone na zawsze w wirach świata:

„Zabijałeś innych, ale mnie kochałeś, mnie! A byłeś tak silny, tak ogromny! Gdyś stanął na słońcu, cień twój był wielki, jak góra! A dla mnie byłeś spokojny i dobry! I ognisty! I niosłeś mnie w ramionach do cudownej krainy, do innej błogosławionej ojczyzny! Czułam: dwa serca nasze były jedno. I nie było nikogo, prócz nas dwojga. Byliśmy świat, ojczyzna i miasto.

„Potoczy się serce moje po drogach i będzie cię szukać, Holofernesie. Wołać cię będzie, ale nie wstaniesz! Całować cię będzie, ale nie obudzisz się!

http://rcin.org.pl

Siędę na progu i będę patrzyła w zmierzch! Gwiazdy wzejdą jedna po drugiej, ale oczy Holofernesa zamknięte..."

Oto na brzegu widnokręgu — w zielonawem świetle rzeczy gnijących, w fosforycznym pobłysku otwarły się usta ogromnej głowy — głowy Holofernesa. Krzyknąć chciały i nie wyszedł głos.

Serce Judyty przejęła nawskroś błyskawica bólu: „To On wołał mnie, to On — krzyknęła — gdy słońce pląsało na dachach i gdy towarzyszki moje tuliły twarze do zielono-złotej, wonnej gęstwiny oliwek!..."

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SODOMA.

http://rcin.org.pl

SODOMA.

http://rcin.org.pl

odoma stała w kotlinie. Dokoła milczały ściany z bazaltu. Kiedy księżyc wytaczał się z za szczytów, skały w blasku lśniły jak żelazo. Lasy cedrowe pięły się głucho po zboczach. Ogromny strumień sunął białą wstęgą z rozpadlisk. Dawał Sodomitom wodę, ujętą w kamienne żłoby.

Wysoko stała wzniesiona z głazów Sodoma. Na wierzchu baszt paliły się ognie na cześć Boga. Czerwone jęzory rwały się w noce ku chmurom.

Żelaznych mięśni mężowie byli Sodomici. Litości nie znali, krew przelewali łatwo. Nie wątlił ich smutek ani rozpacz. Silny panował wśród nich. Dławili wilka rękoma, a na lwa chodzili z maczugą.

Kobiety same odbierały życie mdłym niemowlętom. Nie znały wstydu olbrzymki - Sodomitki o czarnych włosach i posępnych ustach. Gdy wracały do miasta nagie, na ogromnych bykach płowych, w źrenicach ich żarzył się blask miedzi.

Nie znali Sodomici wina i muzyki, morza i tańca. Płodzili, lecz nie wiedzieli, co miłość.

Szatan rozciął skały i ukazał im granatowy przestwór morza. Pobiegły na fale ostrodziobe okręty. Uzbroili się Sodomici. Zostali łupieżcami morza. Nie jedno w perzynę obrócili miasto. Po-

http://rcin.org.pl

znali złoto. Blask jego wdarł się w ich źrenice olśniewającym dżdżem i rozpalił w nich pragnienie.

Odkąd brali w jasyr i kazali pracować jeńcom, utracili ponurą stałość ducha. Zaczęli się wdzierać na wysokie wieże, w oczy zaglądali gwiazdom. Niepokój jątrzył ich serce, nuda je drążyła. Cierpki szmer tęsknoty szemrał im w uchu.

Raz Szatan, chodząc po świecie, przybrał wzrost sięgającego obłoków olbrzyma. A wtedy ujrzał Sodomę. Poszedł po kamienistej drodze, grając na flecie. Sodomici z wież i murów usłyszeli muzykę i zaskowyczeli z radości.

Szatan szedł szary grając, a ich ogarnęła nieufność. Zabiegli mu drogę. Pojmanego stawiono przed sąd, jako szpiega gomorskiego.

On rzekł:

— Jam Szatan. Na mój głos padną skały i zduszą miasto wasze jak grzyb. Dobra to rzecz, ludzie orężni, rzężenie wroga i ręce, z których spływa purpura. Lecz uwierzcie we mnie — ja dawam inne upojenia. Poznacie rozkosz nową i życie głębsze. Jam ogień! Pokłon mi oddajcie.

Sodomici odparli:

— Skąd wiedzieć mamy, żeś potężny?

— Obedrzyjcie mnie ze skóry — jak każe prawo wasze — a ja ozdrowieję.

Katowie wzięli Szatana i obdarli ze skóry — podług zwyczaju sodomskiego. Skóra oddarta opadła na Szatana i przyrosła.

Wtedy oddano mu cześć, jako potężnemu.

http://rcin.org.pl

— Zbudujcie mi świątynię, a dam wam, czego Bóg nie dał.

— Tupnął Szatan w ziemię i znikł. Na miejscu, gdzie tupnął, wyrosło drzewo, a na pniu jego owinęła się latorośl winna i powisły grona.

I z pośród jasnych gron wyszła niewiasta o złotych włosach. Nauczyła ona Sodomitów tańczyć, śpiewać, pić wino, a kobiety Sodomskie stroić ciało i obnażać je, prężyć piersi i biodra. Otoczona zachwyconemi rówieśnicami żyła w ogrodach różanych, oddając się władcy i pachołkowi, temu, co ją miłował, temu, co jej pożądał, i temu, co jej nienawidził.

Poznawszy wino i lazurooką kobietę Sodomici uczcili Boga i Szatana. Bogu wzniesiono świątynię z białego marmuru, a Szatanowi — z czarnego.

Rozmnożyło się potomstwo jasnej kobiety. Lata szły, a w ich biegu ginęły mroczne źrenice i smagłe włochate członki. Rozpleniły się oczy błękitne, ciała białe i włos, wijący się w pierścienie. Każdy miał w oczach rozkoszne, marzące piękno, a w piersi bezwstyd i nienasyconą pożądliwość pramatki.

Zasłynęła Sodoma z ogrodów i kwietnych tarasów. W cieniu drzew leżały lazurookie Sodomitki. Ich cienkie nozdrza drżały od woni kwiatów i myśli, jak przedłużyć spazm rozkoszy.

Ciała ich nabrały posągowej smukłości. Włosy lśniły, jak plastry miodne na słońcu. W oczach przelewał się granat morza, jego nieskończona tęsknota i zmienność. Mężczyźni patrzyli na nie, jak na bóstwa, jak na mistyczne posiadaczki tajemnic

http://rcin.org.pl

nadprzyrodzonych. Myślano, że tylko ich serce pogrąża się w wielkiem cierpieniu i nieogarnionej słodyczy, mężowi niedostępnej. Było prawo, karzące śmiercią za podniesienie ręki na kobietę. Była ona w Sodomie panią najmilszą, a ruchy jej gibkiego ciała wzniecały ekstazę uwielbienia w sercach zapalnych młodzieńców.

Płynęły wieki. Aż zjawił się szary, blady człowiek i zaczął głosić nicość życia:

— Byliście niegdyś hartowni. Rzuciliście życie surowe — bo nie dało wam szczęścia. Wyszliście na spotkanie nowego, radosnego losu. I oto dziś patrzycie na kobietę wątpiąco, o znużeni! Czy nie pogłębiła ona waszej tęsknoty. Po za blaskiem kobiecych oczu rozciąga się kraina pustki, otchłań beznadziejna, o zawiedzeni! A słońce praży wasze głowy. O nowe woła życie, o nowe rozczarowanie! Naigrawać się chce z was i dzieci waszych. Możecie być jeszcze wielcy i dumni. Niech próżno woła słońce. Niech próżno nęcą was gorące ramiona żon waszych i miłośnic.

Na to Sodomici odparli:

— Kochamy piękno i rozkosz. A choć nie wierzymy już w kobietę, jest ona dla nas ułudą największej rozkoszy i najotchłanniejszego piękna.

Wtedy szary Człowiek nauczył ich, jak omijać prawa natury wśród upojeń oszałamiających a jałowych.

Płacz niemowlęcia nie kwilił już odtąd w murach Sodomy. Sodomici nie mogli zawrzeć bram miasta przed Śmiercią, lecz zamknęli je przed Ży-

http://rcin.org.pl

ciem. Przystrojeni kwiatami, w szatach różnobarwnych ucztowali, szydząc z Boga-Słońca. A ono wznosiło się nad Sodomą, prażyło mury i dachy. Rośliny zwijały się, krzyczały o kroplę dżdżu. Zjadliwy kurz podnosił się od spękanej ziemi, której rysy rozwierały się jak usta spieczone gorączką. Niekiedy nadciągały chmury, szare, brzemienne deszczem, ale ani kropla nie spadła. Przenosiły nad Sodomą ciężkie łona i ginęły poza ostrymi szczytami skał.

Sodomici nie chcieli nowego życia z miłości ku nienarodzonym synom i córkom, aby nie cierpieli ci, jak oni, wyczerpawszy do dna złudną rozkosz surowości i rozpusty.

Lecz zgroza ogarnęła pewnego dnia kobiety. Jakto? Więc kołyski mają pozostać puste? Nigdy nie uśmiechną się do nich małe czerwone usteczka? Nigdyż nie uczują w łonie świętego ruchu nowego życia? Więc ma zginąć miasto? Na pustych ulicach dzika ma porosnąć trawa? Posągi upadną twarzą w piołuny, aby ukryć rozpacz. Nad próżnemi drzwiami lelek zataczać będzie ciche kręgi o zmierzchu. I gromady żarłocznych szczurów z piskiem przewłóczyć będą plugawe ogony po ustach ostatniej konającej „pani najmilszej“?

Jakto? Więc mają zginąć Sodomitki, którym kwiaty i gwiazdy zazdroszczą cudów ich źrenic. Jak czarna zmartwiała rana stać będzie miasto w głuchych chwastach i ruinie. I wędrowiec nie ujrzy już nigdy świateł Sodomy? Nie usłyszy w noc miesięczną, jak fletnie grają na tarasach!

Zaczęły Sodomitki pląsać w tańcach lubieżnych.

http://rcin.org.pl

Jak w lekkich obłokach mknęły w zasłonach przejrzystych. „Księżycu, księżycu! zapłodnij ty nas“ — wołały wznosząc ramiona, a dym urocznych kadzideł łaskotał nozdrza mężów. I na widok tych ciał, ogarniętych frenetyczną żądzą miłości i kuszących — wściekłość ogarnęła Sodomitów. By nie ulegli, dawny duch surowości ocknął się w nich żądzą zniszczenia.

Toporami i mieczami wycięli w pień kobiety, nie wyłączając dziewczynek. Krew biła strugami, krwią gaszono pragnienie. Pito z rozprutych żył jak z puharów. A co uciekło w góry, chwytano i z dzikim chichotem rzucano w przepaść, lub gnieciono na miazgę między wielkimi głazami.

Tak wyginęły Sodomitki. W mieście zostali tylko mężowie, zbroczeni posoką i obłąkani lubieżnym szałem.

Mieli umrzeć Sodomici sami, ale Bóg nie chciał. Wzgardzone słońce wołało o pomstę.

Jam Pan — rzekł Jehowa — ja mam w mocy szale Życia i Śmierci.

— A oto, co zrobiłem z twojem twardem miastem, Jehowo — mruknął Szatan.

— A że są przeciw słońcu, co radość wlewa w źrenice dziecka i kwiatu, więc sprawię, że słońce spali pożarem Sodomę.

Szatan ziewnął, jakby rozwarły się przepaści:

— Żem ja zły — zło uczynił — to moja chwała. Ale czemu Ty dobry — zamiast siać dobro, każesz za zło? Czemu, gdym się ukazał szary z fletem przy ustach, nie posłałeś anioła z mieczem płomiennym, aby pospędzał ich z murów i prze-

http://rcin.org.pl

strzegł? Co mają tu prócz umartwienia i krom rozkoszy? Mogliby poznawać, bo świat jest Tajemnicą, ale uczyniłeś ich niewiele mądrzejszymi od krów. Gdyby byli wyznawcami Twymi, po wiekach niktby nie wspomniał o Sodomie. A tak, póki ostatni człowiek oddychać będzie — za to, że wzgardzili życiem, jakie im zgotowałeś, żywe będzie miasto płonące. Krzyk jego nie przehuczy nad czasów otchłanią...

Tak mówił, tak śmiał się Szatan i czekał przyczajony na słowo Boga.

Milczał Bóg, więc rozwinął Szatan szare, obrzeżone rąbkiem ognistym, skrzydła i uleciał ponad Sodomę. Ujrzał, że miasto wiło się w ogniu. Na niebie, które krwawemi chmurami okryło się jak trądem, stało zadymione, szydercze Słońce, słuchając ostatniego krzyku Sodomy.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WASTHI.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Król Haswer siedział na tarasie i ucztował w Susan. Noc rozpostarła nad biesiadnikami płaszcz gwiaździsty.

Serce królewskie wezbrało miłością do ludu. Kazał rzucać rzeszy mięsiwa, pozostałe z uczty. Tłum chwytał tłuste połcie i wył z radości.

Wieść o godzinie szczodrobliwości królewskiej obiegła miasto i koło tarasów rozlała się tłuszcza, głowa przy głowie, aż po sadzawki królewskie. Wyrywano sobie mięso, piana lśniła na wargach i wywracały się białka. Raz po raz ciężki, ochrypły jęk wydzierał się z piersi.

Przeraził się król. Chodził na lwa z maczugą. Jego wóz bojowy miażdżył nieraz głowy pokonanych, rzezał ciała siekaczami przy osiach, chlupotał po krwi i wnętrznościach, bryzgał posoką, lecz na widok poddanych, wrzeszczących na jego cześć — króla ogarnęła zgroza.

Zbladł i zachwiał się na stolcu.

Czereda wyła:

— Króla! Króla!

— Czego oni chcą? — spytał król, szczękając zębami. — Nie rozumiem swoich poddanych...

— Chcą widzieć Ciebie, królu — rzekł kanclerz.

Król, chwiejąc się na nogach od wina i strachu, zbliżył się do balustrady i wychylił.

http://rcin.org.pl

Wściekłemi z nienawiści oczyma spojrzał na ciemną rzekę głów. Pomyślał, czyby nie posłać po łuczników i wytracić tych wrzeszczących.

Ale wino i groźna ciemna noc odebrały mu stanowczość. Dyszącym głosem rzucił z góry:

— Czego chce lud?

Lud nie chciał niczego. Nie wiedział, czego chce. Nie oczekiwał pytania. Zamilkł, zakołysały się głowy, jakoby pytali się jedni drugich.

Jak pocisk z procy zaświszczał głos:

— Wina! Wina!

Tłum zaszemrał potakująco. Za chwilę wrzeszczeli wszyscy, gardłowali, jak ze skóry darci, charczeli, bluzgali:

— Wina! Wina!

— Lud — grzmiał ostry głos — chce wina...

...Umywasz niem nogi, królu!

...Kąpiesz w niem nałożnice!...

...Wina! Wina!

...Z nóg królewskich!...

...Z między bioder nałożnic!...

Blady król cofnął się i siadł na stolcu. Pił chciwie wino. Chciał utopić w niem gniew, zagłuszyć wrzask, który bił z dołu:

— Wina! Wina!

...Z nóg królewskich!

...Z między bioder nałożnic!

Szukał król w winie ostrej przyprawy dla dławiącej go wściekłości, ale na dnie czary znalazł łagodność. Poweselał... Głosy poddanych wydały mu się miłe. Ich zapał rozrzewniał pijanego króla.

http://rcin.org.pl

Zawołał podczaszego i kazał wytaczać z piwnic kufy z winem, miechy, bakłaki i rzucać je na głowę tłuszczy.

Polały się wina strugami. Pili silni, słabych a natarczywych miażdżono. Rozbijano im czaszki maczugami, aby cofnęli ręce i usta... Pośród jęku rannych i charczenia konających pełnem gardłem pito.

Niektóre kobiety dorwały się do napoju wraz z mężczyznami. Pijane padały na miejscu i z rozczochranym włosem wrzeszczały chutnie na cześć króla. Rozdzierały na sobie szaty, obnażały się i żądały, by je gwałcono.

Księżyc się wzniosł nad tłumem. Posnęli jedni, a drudzy śpiewali pieśni. Śpiewano, jak król zdobywał grody i w pień ludność wycinał:

— Dzieci, o królu, rozcinałeś na dwoje mieczem zwycięskim, niewiasty gwałciłeś, o mężki, łupiłeś oczy mężom, a innych wprzągłeś do żaren... Stękały słonie, dźwigające łupy wojenne — złoto, bisior, purpurę. A na słupach kamiennych rzeźbiłeś phalus...

Król wzruszony wspomnieniami płakał.

— ...Tak, tak — szeptał, wybijając takt nogą.

Wspomniano, że z ostatniej wyprawy król przywiózł był jeńców i rzucił ich w lochy. Znów żądano, by król się ukazał.

Król wychylił się z rękoma na piersiach:

— Ludu mój, czego pragniesz dane ci będzie. Gwiazdy zdejmę z nieba i dam ludowi. Jam król!

— Krwi! Krwi!

Król kazał wywlec jeńców z podziemi i oddać

Fundacja im. J. J. Michalskich ze zbiorów

http://rcin.org.pl

tłuszczy. Skutych łańcuchami lub w dybach rzucano z tarasów, a lud ich rozszarpywał.

Otwierano nożami piersi i pożerano drgające serca. Kobiety darły się na przebój, aby zdobyć człon męski, jako cenny amulet.

Motłoch wył, pląsał. Rozpalono ognie, grano na piszczałkach i przypiekano jeńców, a potem na pół żywych, śmierdzących przyskwarzonem mięsem, rzucano kobietom, które piszcząc wydzierały ich sobie zajadłe i rozjuszone.

Tłum wspomniał, że król dla zabawy wykłuwał oczy jeńcom i teraz każdy chciał kłuć oczy, każdy chciał być królem.

Nareszcie lud pomordował wszystkich bezbronnych i porozdzierał ich członki. Większość leżała pokotem na ziemi z kobietami. Ognie pogasły, ale w blasku księżycowym widać było, że cały plac miesi się i dławi. Odlewała się białość bioder wśród zgrzytu zębów i mruku. Inni stali dygocząc zębami, miotając na leżących przekleństwa, złorzecząc w szale, wygrażając pięściami im i zaludniającym mroki nocne upiorom. Niekiedy bluzgał wrzask:

— Król królów niech żyje!

Nagle parzący się kłąb ciał zamarł nieruchomo. Ustały złorzeczenia, zgrzyty, pomruki. Lud jakoby skamieniał.

Była to chwila namysłu: czego jeszcze zażądać od króla.

— Królu — świsnął jeden ostry głos — ukaż nam nagą królowę.

http://rcin.org.pl

Lud pochwycił to żądanie, zakołysał się, zaszemrał cały:

— Królowa! Niech się ukaże nagą...

Król zapytał:

— Czego znowu chce lud.

Odpowiedziano, że lud chce widzieć nagą królowę.

Podobało się to żądanie królowi. Było ono zgodne z jego pragnieniem, by zadziwić i olśnić lud. Chciał, by dostojnicy i ciżba ujrzeli, jak piękną jest nagość królowej.

Posłał zaraz rzezańców, by nadeszła z paniami swemi.

Królowa przechadzała się wśród drzew i kwiatów, gdy wysłani powiedzieli jej, że z woli króla i ludu ma się nagą ukazać z krużganku.

— Dla siebie jestem nagą — rzekła królowa — dla słońca, dla ognia. Okryta skórą pantery, z asfodelami we włosach, obejmowałam bazaltowy ołtarz wielkiej Istar i paliłam jej złotą lampę w kształcie gołębia. A bogini spojrzała szmaragdowemi oczyma na biodra Wasthi i rzekła:

— One są moje...

Królowa nie jest nierządnicą i rzeczy boskiej nie ukaże ludowi.

Odpowiedź królowej kazał król niebacznie obwieścić tłumowi.

Lud zaszemrał. Zaczęto wrzeszczeć i drwić.

Kobiety upojone szałem, pląsały trzęsąc piersiami, wyły. Śpiewały, chwaląc swą urodę:

— My mamy piersi jak księżyc białe i pełne!...

http://rcin.org.pl

Tańczmy, tańczmy nagie... Niech patrzy król i powie: jakie powabne! Niech patrzy rycerz z dzirytem, niech patrzy pachołek z dzbanem, niech patrzy mąż brodaty i młodzieniec. Niech każdy będzie szczęśliwy! Niech każdy pije z pełnej czary. My jak kwiaty nie znamy wstydu. A królowa nie chce się ukazać. Ona zna wstyd. Czy królowa jest piękna? Ach, nie! Królowa ma piersi obwisłe... Ciało jej jak wór trędowatych... Złe duchy pożarły piękność królowej!...

Król słuchał ze zgryzotą. Nie rozumiał, czemu królowa nie miałaby ukazać się ludowi obnażoną. Gdyby się zjawiła w klejnotach na głowie i piersiach, w blasku pochodni, rzuciłaby tłum na kolana.

Lud uznałby ją za bóstwo, a jego za boga.

Posłał znów do niej i groził srogą niełaską. Ale Wasthi odparła, że powiedziała już wszystko.

A lud miotał oszczerstwa i lżył królowę.

Raz po raz ktoś szczekał jak pies, a tłum wybuchał hucznem, kipiącem jadowicie szyderstwem.

Król zakrył twarz rękoma i siedział bezradny. Nagle usłyszał za sobą szmer szaty jedwabnej. Olśniewająco piękna nieznana kobieta osunęła się na kolana przed nim. Prosiła, by jej pozwolił ukazać się nago i oszukać lud...

Król wpatrzył się w jej twarz jaśniejącą. Wydało mu się, że tak promienną była Wasthi, gdy ujrzał ją raz pierwszy.

Kazał oznajmić ludowi, że królowa się ukaże. Ale lud spoliczkowany dumą królowej już się rozpraszał. Pierzchał na wszystkie strony, oglądając się

http://rcin.org.pl

ponuro, ze zwieszoną głową, miotając zrzadka przekleństwa, dzikie szyderstwa i obelgi.

Wynurzyły się już kolumny pałaców królewskich i świeże ogrody.

Wstał ranek. Blade światło padało w szeroko otwarte czarne gęby pomordowanych.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WYGNANIE Z RAJU.

http://rcin.org.pl

WYCINANIE Z RAJU.

http://rcin.org.pl

wo! Ewo!

Ewa udaje, że nie słyszy. Wsparta na łokciach leży w gęstwinie i słucha leniwie głosu Adama, który szuka jej po całym raju.

Pięty jego dudnią po drodze, a niecierpliwe ramię ociera się o kolczaste opuncje. Napewno znów się pokaleczy i trzeba mu będzie robić okłady!

Przymyka oczy i przez szpary między powiekami patrzy, jak on biegnie. Włosy lecą za nim, jakby nie mogły zdążyć.

Cały raj zalany promieniami słońca.

Olbrzymie drzewa porozkładały liście okrągłe jak tarcze, ostre jak groty, ciężkie jak maczugi. Śpią w żarze.

Jarzący blask miedzi i złota — aż oczy bolą. Roślinność pnie się w górę stromo po zadartej hardo opoce.

Czerwone kwitnące kaktusy chwieją się jak ognie, wysoko, wysoko — na tle białych obłoków.

Gdy wiatr nabiegnie, wszystko się kłania Ewie.

Niektóre kwiaty trzęsą się, jakby chciały zerwać się z miejsca i dotknąć jej ust.

Tyle dni, tyle dni widzieć to samo! Ten sam bezpożyteczny przepych, te same głosy! Nosorożce ryczą, jakby chciały otrząsnąć raj z liści. Zdaje się,

http://rcin.org.pl

że obłoki drżą od tego grubego spazmatycznego wrzasku. I poco?

Głosy szakali świszcząc przedzierają się przez gąszcze, jak wysmukłe włócznie. Czasem jaki ptak przerażony wymknie się z gęstwiny, niosąc za sobą ogon lśniący, zielony, przetykany czerwonymi smugami, niby pręgami płomieni.

Przeniesie strój swój przez polanę i znów utonie w zaroślach.

Poco? Poco?

Cóż to za męka żyć tak całe lata... Nie widzieć na ścieżkach, w zielonych arkadach gęszczarów, w chłodnicach przyczajonych, nikogo prócz Adama lub zwierząt, sobą tylko zajętych!

A to mi uciecha, jeśli się znajdzie jaje kakadu lub nawet strusia! To samo zawsze nakrapianie! Czy to wogóle znieść można?!

A ten raj taki wielki! Kiedy podniesie się z murawy gąszczu i wyjrzy, tak kusząco wygląda jar daleki, błękitny lub złoty od kwiecia. W lekkiej mgle oddalenia zdaje się oddychać urokami niewysłowionej baśni. Ewa idzie tam, a w miarę zbliżenia czar maleje. I widzi, że nowy zakątek jest taki sam, jak ów, z którego wyszła. Tylko podeszwy nóg palą ze zmęczenia.

— Ewo! Ewo!

Głos Adama brzmi coraz dalej. Adam jest nudny. Cóż może powiedzieć ciekawego? Nic. Niech więc jej szuka.

Dość będzie czasu na nudy we dwoje.

Ach, gdyby jakikolwiek głos nowy! Mruczenie

http://rcin.org.pl

tygrysów i chrząkanie świń leśnych już jej dokuczyło. Albo ów ciężki łoskot, kiedy spadnie orzech kokosowy!

Gdyby tak zerwała się burza i potrząsnęła trochę za ramiona ten raj niesłychany! Było już tak!

Ale Bóg jest oszczędny...

Leżała wtedy w grocie, w objęciach Adama... Deszcz walił po liściach jak po parasolach. Lew i lwica siedziały u wejścia do groty, a wąż syczał w kącie, rozwijając zimne kłęby.

Ale otóż i słońce się zniża. Trzeba odbyć przechadzkę przedwieczorną. To zapobiega tyciu. Trzeba jeszcze raz spojrzeć na rzekę i na te nieznośne zwierzęta.

I Ewa po krótkiem wahaniu dźwiga się z liści, wiąże włosy w wielki węzeł i lśniąc głową, jak złocistym kwiatem, wychodzi na ścieżynę.

Adama już nie słychać. Ewa idzie ku wstęgom wód, które, podobno, wypływają z raju i płyną gdzieś dalej.

Wielki jak baszta słoń, o skórze ciemnej i grubej, stąpa tą samą ścieżyną. Jest tak szeroki, że zajmuje całą drogę i Ewa musi zejść na bok. Zwierzę mija ją, stąpając głucho grubemi jak kłody nogami. Zatrzymuje na niej ciche, łagodne spojrzenie oczu niedużych i tajemniczych. Kręci krótkim, cienkim ogonkiem (zapewne z zachwytu)!

Ewa zaczyna się przypatrywać sobie. Nie może widzieć swej twarzy! Co za okropność! Jedyna to rzecz zajmująca jeszcze!

Cała jest zawarta w skórze białej i gładkiej,

http://rcin.org.pl

miejscami różowej. Ręce i nogi ma wysmukłe i zgrabne.

Olbrzym oddala się, kołysząc trąbą. Ewa zdąża za nim. Inne zwierzęta również ciągną na codzienne orzeźwienie. Jarosz-tygrys ze zwieszoną głową, cichy jak cień, o oczach pełnych drzemliwego złota, okrutnie gniewny, na widok Ewy macha ogonem i wypręża grzbiet. Zachęca to Ewę do pogłaskania jego pręgowatej sierci, co jej sprawia głuchą przyjemność, a tygrys daje kilka olbrzymich susów z radości!

Dwie lamy o przepysznych, arystokratycznych ruchach i oczach wielkich, połyskliwie ciemnych, jak jeziora górskie, niosąc najmilsze w raju głowy na wysokich szyjach, zwracają do Ewy długie wysmukłe mordki, łagodne i ciche jak oliwa.

Brunatny niedźwiedź, smutny i ciężki, podszedł, by liznąć jej dłoń. Struś kroczy wyniośle, zostawiając na piasku odciski rozstawionych palców.

Bokami fruwają kolibry jak pyszne kulki zielone, lazurowe, złote. Małpy zamiast iść drogą wędrują drzewami. Wyją nieznośnie, wieszają się na gałęziach jak nietoperze. Ich bladoliliowe brzuchy trzęsą się i przelewają jak worki.

Nareszcie całe towarzystwo jest już u wody.

Rzeka płynie, unosząc na falach opadłe płatki kwiatów. Jej powierzchnia lśni jak rzucona w przestrzeń mora. Raz po raz wytryska z głębi ogień fioletowy, siny, lub błękitny jak okno katedry.

Lecz Ewa widziała to już tyle razy!

Te snopy iskier, lecących od dna i rozprysku-

http://rcin.org.pl

jących się na powierzchni jak szklane paciorki. Albo te gniazda wirów, chłodne odmęty, skąd idzie szmer bulgoczący, jakoby z zalewanego gardła.

Zwierzęta piją wodę i kąpią się. Słonie, stąpając zwolna, opierając się z całej siły na zadach, ociężale spełzają w rzekę. Z nad szerokiego pyska bieleje ostry kieł nosorożca. Piany szumią naokół.

Żyrafy, stojąc na brzegu, przyglądają się w przeźroczy swym długim szyjom.

Lampart, przyczajony jak skręcona sprężyna, chłepcze wodę czerwonym jak kwiat kaktusa językiem.

Ewa schyla się i zaczerpuje w dłonie wody.

Odeszła dalej, gdzie rzeka mniej zmącona.

Myje lice, patrzy w nurt.

Jej wielkie oczy niebieskie czasem błysną w głębinie. Wtedy Ewa wydaje okrzyk zachwytu.

Nareszcie wszystko się kończy. Zwierzęta odchodzą.

Ewa słucha chrzęstu gałęzi, łamanych stopami słoni...

Potem cisza... Czerwony blask rozlewa się po wodzie.

Słońce zniża się ku zachodowi...

Ewa czuje się smutną i opuszczoną. Przypuszcza, że Adam ją porzucił.

— Adamie! Adamie!!

Teraz ona woła, smętnie, melancholijnie woła! Ale w raju cicho!

Odchodzi zwolna od rzeki. Za nią leci wiatr wieczorny.

http://rcin.org.pl

Targa jej włosy...

Ewa wybiera jeden z ustronniejszych strumieni, wlewających się do rzeki z cichym pluskiem, i tam łzy wylewa. Do tej mokrej, bulgoczącej skarbnicy...

Tonie w zmierzchu i łzach...

. . . . . .

Wyłonił się wreszcie Adam. Wyniósł z mroków bladą twarz pierwszego człowieka.

— Opuściłeś mnie — mówi Ewa łkając.

Adama wzrusza tkliwość jej serca. Oboje zasypiają w grocie z liści grubych i cienkich.

Ewa myśli o swem nieszczęściu...

Adam zasypia w słodkiem przekonaniu, że ona jest tak nadzwyczajna!

Przed jego wzrokiem unosi się marzenie niejasne, budowa świetlanej przyszłości, wielkich losów — przez Ewę.

. . . . . .

Adam siedział na najwyższem wzgórzu raju, skąd we mgle, jak w koronkach pajęczych, widniała pustynia świata.

Pomimo osłabienia wzroku (skutek wpatrywania się we własną żonę — w braku cudzej!) widział, jak podnosiły się i spadały szare tumany, a czasem piasek zalśnił, jak gdyby otworzyły się tysiączne ślepia zagrzebanego w nim potwora.

Adam rozmyślał, czy za tą pustynią jest coś jeszcze. Może inny raj, może inna Ewa?

http://rcin.org.pl

— A co jest w niebiesiech? Czy za błękitami, za bielą obłoków przechadza się On?

A gdy się zbiorą tucze na burze, jego to ręka warczy piorunem, a wzrok tnie błyskawicą.

On... On...

O tęsknoto do światów stworzonych i niestworzonych, do jutrzenek i wieczorów, spływających na ziemię!

Płyną lata... Roztwiera Adam oczy... Patrzy na wspaniałość roślin, na zwierzęta nieśmiertelne... Potem duch jego pogrąża się w sen, w czarną topiel, i powstaje odrodzony.

O, gdyby On ukazał się... przejechał po niebiosach... Białe rumaki jak wicher niechby go przeniosły... Białe rumaki o nozdrzach różowych jak muszle...

On dał mu Ewę... O, słodkie stworzenie tak podobne do Adama, a tak inne! O oczach, które pociągają wiecznie! O włosach, które grają tak słonecznie!

. . . . . .

Tymczasem Ewa znowu się nudzi. Ale jest to już nuda rozpaczliwa. Chwyta ją spazmatycznie za gardło, obala na ziemię.

Adama niema, gdy Ewa ma pierwszy atak histeryczny.

Jakżeby się zmartwił, ile łez wylał, gdyby widział to wszystko!

Pada na ziemię... wypręża się... Dłonie jej otwierają się i zamykają znowu, zaciskając kurczo-

http://rcin.org.pl

wo listki opadłe z drzew, jakby je chciała zetrzeć na proch.

Trochę białej piany lśni na ustach i między wargami, które pobladły.

Nogi miotają się. Kopią niewidzialnego wroga.

Nareszcie przeszło wszystko!

Ewa siadła. Z westchnieniem ogląda się naokół.

Cóż się stało? Któż to ukazał się jej nagle? Kto ją tak rzucił na ziemię?

— Dużo kwiatu pomarańczowego — myśli — dużo kwiatu... i zasnąć nazawsze!

Przeprowadza ręką po włosach. Są równie miękkie, jak zwykle, i gładkie.

Odrobina pociechy spływa w jej duszę... zmąconą jeszcze i zasłuchaną.

Idzie znowu... Dokąd?... Nie wie sama...

Patrzy tępym wzrokiem z głębi swej choroby na przepych raju.

Nagle myśl szczęśliwa... Odwiedzi węża, który się usadowił na drzewie wiadomości złego i dobrego.

Szmer jego splotów, syk długiego języka, kłęby lśniącego cielska —'to wszystko przelewa się w niej wyzwalającą symfonją.

Ewa czuje się pokrzepioną. Członki znów odzyskały giętkość i siłę. Skóra jakoby zakwitła.

. . . . . .

Drżącemi ze wzruszenia krokami obiega wspaniałe drzewo wiadomości złego i dobrego.

http://rcin.org.pl

Wąż syczy przyjaźnie i obraca do niej głowę płaską o żółtych centkach.

Ozdobne w pince-nez oczy wtula w Ewę z niewypowiedzianą wdzięcznością.

Przy szyi ma dwie palczaste pletwy, któremi się posługuje jak rękoma.

Zdejmuje lśniący, mały cylinder i powiewa nim ku Ewie.

Ewa jest zawstydzona temi dowodami przyjaźni i zachwytu. Zbliża się na paluszkach i naiwnie jak dziewczynka zagląda w oczy węża. Są one żółte, wąska źrenica lśni w szparze... Zdaje się, że toń nie jest głęboka, że można stanąć w tych oczach obiema nogami.

A tymczasem oczy Adama są przepastne, wprost z i o n ą. Gdy się w nie długo wpatrywać, dostać można serdecznego śmiechu...

Ach, te głębiny tak upajające z pozoru, a nieraz to tak dręczy i wprost b o l i. Adam jest za otchłanny, za... metafizyczny!

A tu ta spokojna, zmatowana pewność, osłoda, oparcie! Bierze wprost ochota stanąć na tych oczach bosemi nóżkami i wziąć się pod boki!

Ewa składa przed wężem głęboki dyg!

Zaczyna się rozmowa. Wąż wyłuszcza niesłychane korzyści z poznania złego i dobrego.

— Nabierze pani stylu, wytworności, finezji...

Ewa skarży się na rajskie nudy:

— Ach, gdyby choć trochę inteligentnego towarzystwa!

Wąż szczerzy zęby:

http://rcin.org.pl

— Nic dziwnego — mówi szepleniąc. — Wszystko to są skutki odcięcia szerszych widnokręgów. Spróbuję przyjść pani z pomocą...

Zrywa jabłko i, trzymając je z lekka między żółtemi zębami, zatacza bujający się krąg nad głową Ewy, zniża się i zagląda jej w twarz przez ramię.

Jabłko jest rumiane z dwu stron, a zresztą pokryte delikatnym naskórkiem woskowanym barwy blado-złotej.

Pachnie olśniewająco.

Ewa przypomina sobie, że On zakazał kosztować owoców z drzewa wiadomości złego i dobrego...

Lecz On jest daleko...

Ewa rzuca spojrzenie naokoło. Nic nie wskazuje, że On czuwa. Wszędzie ta sama omdlałość palącego słońca, blask rażący liści i ognie kwiatów.

— On zasnął — myśli Ewa bardzo cicho.

Czuje chłodny wiew węża, widzi żółte, ironicznie stężałe źrenice.

Jabłko kołysze się przed nią jak małe słońce...

W jej krwi rozbiega się drżenie... spazm rozkosznej ciekawości i lęku.

Jeśli się cofnie, narazi się na śmieszność, a wąż jest tak wytworny!

Nareszcie bierze jabłko w dłoń, waży przez chwilę jego ciężar, podskakuje lekko z uciechy jak psotna dziewczynka, śmieje się zalotnie i pogrąża w jego miąższ, słodki i ciekący, w olśniewająco biały miąższ, śnieżne ciekawe zęby niepoprawnie lekkomyślnej samiczki.

http://rcin.org.pl

. . . . . .

Gdy Adam, uwiedziony czarami słodkich próśb Ewy, zjadł połowę zakazanego owocu, powietrze raju przeszył krwiożerczy ryk tygrysa, rozdzierającego wołu. Skóra, pocięta pazurami, wisiała w krwawych strzępach. Kałuża dymiącej krwi wylała się na trawę.

Ciągnąc za sobą martwego wołu z oczyma zaszłemi bielmem i stężałym pyskiem, z którego blady wysunął się język, tygrys znikł w zaroślach.

Oplotła się Ewa około Adama i drżała, nie mogąc się uspokoić. Aż zwolna ustąpiła zgroza i niewysłowiony ogień rozkoszy zajrzał w jej duszę.

O pierwsza nocy pierwszej pary ludzkiej, głęboka i letnia! Gwiazdy wyroiły się na drogi nieba jak niezliczone przyszłe pokolenia. Ciche błękitne błyskawice przecinały odległą, ciepłą głąb widnokręgu. Zamarło powietrze, nasycone zapachem hijacyntów.

Ale zaledwie zamigotał ranek i raj zalśnił, nim jeszcze zagasły ostatnie westchnienia pocałunków, Anioł stanął w progu groty. Skrzydła jego były białe jak miąższ owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego.

Z długim obnażonym mieczem, na lędźwiach miał pas, a przy nim ogromna kłódka z misternie urobionym kluczem.

Po sprawdzeniu tożsamości osób wygłosił słowa, które odtąd tyle razy powtarzano w dziejach:

— Wybaczą państwo, ale obowiązek jakkolwiek smutny jest obowiązkiem...

http://rcin.org.pl

Ewa poczęła głośno płakać, podczas gdy Adam gorliwie sprawdzał podpis i pieczęcie.

Ruszono z groty... Ewa wciąż płakała. Adam pocieszał ją, ale napróżno.

Anioł spuszczał oczy i minę miał smutną.

Przybyli aż nad wieczorem do wrotyszcz raju.

Adam rzuca ostatnie spojrzenie w głąb ogrójca, podczas gdy Anioł usiłuje ruszyć z miejsca spiżową wrotnicę.

Ciężkie, zardzewiałe pierzeje nie chcą się zawrzeć. Próżno popycha je i targa Anioł krzepkiem ramieniem. Zmuszony jest prosić Adama, aby mu pomógł.

Obaj borykają się z wrotami, a Ewa płacze coraz głośniej. Ale gdy dźwierze zawyły zardzewiałym skowytem, dostaje spazmów tak gwałtownych, że Anioł zasłania uszy skrzydłami.

Nareszcie ostatni zgrzyt klucza. Wrzeciądze założone. Wrota zamknięte.

Anioł czuje ulgę, że się ta smutna ceremonja skończyła.

Staje przy wrotach. Miecz jego zaczyna świecić uroczyście, a nieszczęśni małżonkowie oddalają się w pustynię.

Nad gęstwą raju błyszczą promiennie gwiazdy. Wyroiły się niezliczonym tłumem... dziś właśnie...

Ewa obrzuca Adama gradem obelg, że dopuścił do zakosztowania owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego.

On idzie obok niej, samotny. Jego nogi, przywykłe do stąpania po miękkiej trawie i między kwia-

http://rcin.org.pl

tami raju, kroczą teraz w pyle nieznanej, jałowej pustyni, gorącym i sypkim.

Idzie w ciemnościach...

Od skraju widnokręgu odrywa się zwolna tarcza księżyca.

Blade światło oblewa twarz Adama i pustynię, jałową, samotną pustynię, rozpaczliwie rozległą, bielejącą w blaskach jak całun Śmierci.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ŻONA PUTYFARA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ona Putyfara, Nai, obudziła się późnym rankiem w wysoko sklepionej komnacie, we wschodniem skrzydle dworca. Rysy jej twarzy były semickie, lecz nos krótszy, niż u rasowych semitek. Płeć miała smagłą i gorącą jak owoc brzoskwiniowy. Ogień krwi pełzał pod jej skórą i palił się złotawym płomieniem. Wyciągnęła rękę i uderzyła młotkiem w płytkę ze srebra kilikijskiego, a przytem ramię jej zaśmiało się jak kwiat jaśminu w purpurowej strudze powietrza, przesyconej barwą ciężkiej opony, którą gwałtowne słońce, jak się zdawało, pożądliwie nawskroś przepala. Ramię nagie, bez ozdób, jędrne i piękne w kształcie falowało jak gardło gołębie. Poza komnatą rozlewało się wysoko ametystowe, strzeliste słońce na szafirowej pustyni nieba. Sykomory przymknęły zielone oczy i tonęły w omdleniu.

A gdy rozległ się dźwięk młotka, Nai opuściła powieki na źrenice, wydłużone jak płomienie pochodni i pełne skier. Słuchała dźwięków, wirujących i zamierających w powietrzu, wargi jej drżały wzruszeniem młodych liści.

Niebawem, uchyliwszy opony, weszła krokami zwinnej łasicy ulubienica Nai, ciemnoskóra Aminta.

Żona Putyfara zapytała:

http://rcin.org.pl

— Co przynosi jasne słońce, które nam dziś świeci?

Aminta odparła:

— Niewolnicy, budujący piramidę Pharaonową, podnieśli bunt i pokładli się w cieniu palm. Jest między nimi wiele hebrejczyków, są i z mojego kraju, z ziemi Kusz. Podobno jutro mają być zabici, porąbani i wrzuceni w sadzawki rybne.

Nai wygięła się na posłaniu leniwie i znów spytała:

— A co przyniósł srebrny księżyc ostatniego wieczoru?

— Mówią, że złotowłosa Arsinoe już nie będzie palmą rozkoszy wspaniałego Pharaona. Upoiło ją wczoraj słodkie wino mareotyjskie i wymiotowała, a Pharao śmiał się i wkońcu rzekł: „Zaiste Arsinoe godnie sobie zasłużyła, aby ją wyryto ze złamanym lotosem w ręku...“

I wachlując Nai piórami białego pawia, niewolnica mówiła dalej:

— Któż teraz będzie nadobną panią syna słońca?... Może? lękliwa Ata?... Niedawno Pharao nieść ją kazał w lektyce purpurowej i nazwał „Jasnym Porankiem“...

Na dworze stało kamienne oblicze skwarnej ciszy. Wielki owad zalśnił na chwilę szmaragdem skrzydeł i zgasł bez szelestu.

...A gdy dogasały smołowce i wino ogarnęło głowy, oddalił się wielki lew królów, a z biesiadników każdy szukał ust i piersi tancerek. Śpiewano pieśni, a serca silnych mężów i pięknookich kobiet biły głośno, jak fale wylewającego Nilu. Dwaj tylko

http://rcin.org.pl

mężowie zachowywali milczenie, jakby strzegli ognia lub świętej tajemnicy.

— A imiona ich? — spytała Nai.

— Mąż twój, nadobna pani, i Józef hebrejczyk.

Nai wysłuchała odpowiedzi ze wzruszeniem; w źrenicach jej zalśnił blask, jak na żółtych kwiatach jaskru. Aminta wąchała przez chwilę róże, rozsypane po stole z hebanu, i nie podnosiła oczu na panią.

Przeszło mgnień kilkanaście w milczeniu, aż Nai siadła na łożu i wyciągnęła ręce. Aminta włożyła na nie naramiennice złote i palce pani swej ozdobiła pierścieniami. Potem włosy Nai zwilżyła wonnym olejkiem napackim, a stopy umyła pachnącą, chłodną wodą. Narzuciwszy na ciało pani swej tunikę, sięgającą do kostek, z cienkiego białego lnu i drugą krótszą suknię barwy promiennego hjacyntu, a ściegiem złotym przetykaną, włożyła na nogi jej sandały ze skóry antylopiej i umocowała je modremi wstęgami na kostkach. Nai obracała się przed zwierciadłem jak dziecko, śmiała się, obnażając białe zęby, i mrużyła oczy, a w szczelinach powiek źrenice jej lśniły, jak szmaragd w słońcu.

Tymczasem weszła do komnaty inna niewolnica, o ciele białem jak perła, i skrzyżowawszy ręce na piersiach, przemówiła:

— Nadobna pani, sługa twój Józef widzieć cię pragnie.

— Niech wejdzie — rzekła Nai.

Obie służebnice, ciemna i biała, zniknęły za oponą cicho, jak dalekie echo leśne.

http://rcin.org.pl

Wszedł Józef i oddawszy pokłon, przemówił:

— Pozdrawiam cię, pani domu Putyfara!

— Bądź pozdrowiony! — rzekła Nai.

— Skłoń pani ucho twe do mnie a wysłuchaj mnie, ty, co trzymasz w dłoni serce męża twego i skruszyć je możesz, jako liść zwiędły.

Nai uśmiechnęła się, a gdy uśmiech jej już ginął jako błysk spadłej gwiazdy, parsknęła śmiechem głośnym i pierś jej zafalowała pod lekką tkaniną, jak mleko na warze. I było tak, jak gdyby iskra miała już zgasnąć i nagle buchnęła żwawym płomieniem.

Józef wzdrygnął się i zamilkł. Surowy smutek wyjrzał mu z oczu.

— Cóż z tego? — rzekła wreszcie głosem dźwięcznym od wesela. — Mąż mój należy do mnie... Czy wiesz, że wczoraj nie chciał igrać z dziewczętami, które mieć mógł z łaski Pharaona. Ale ja oddawna nie pozwalam mu dotykać siebie. Jest mi wstrętny ten łysy szczur, spasiony w domu Pharaona... Niech inni czczą szczury, ja wolę słońce!

I wyciągnąwszy dłonie ku srebrnej ulewie słonecznej, umilkła i zamarła, jakby dusza jej tonęła w złocistej otchłani.

— O — pani, szepnął hebrejczyk — wiemy, że mąż twój to źrenica i dłoń Pharaona...

Ale ona nic nie odpowiedziała. Po chwili dopiero poczęła mówić, a głos jej brzmiał ciszej i głębiej:

— Jestem jak dziewica... Żyję wśród służebnych moich i snów. Ach, Józefie, gdybyś ty znał moją duszę,

http://rcin.org.pl

chłodną jak głęboki nurt Nilu, gorącą jak strzały Ozyrysa. Serce moje umiera nieraz z radości, której przyczyny nie widzę źrenicą: może ono pragnie i znajduje nagle krynicę zimnej, djamentowej wody... Krzyczy z rozkoszy moje serce i bije skrzydłami, jak łabędź, mknący w błękity. Ach, ja oczekuję dnia, który przyjdzie, który przyjść musi, bo słyszę już kroki jego jasnych stóp!... Stałam się inna, zamknęło oczy i zasnęło okrucieństwo mego łona, niewolnice moje śpiewają i milkną, kiedy zechcą... Ach, Józefie, co się dzieje ze mną?... Nigdy nie byłam taka...

A hebrejczyk pomyślał:

Teraz należy uderzyć w tę kobietę błaganiem.

I padając nagle do nóg Nai, zawołał żałośnie:

— O pani, pani, ratuj hebrejczyków!

Rozsypały się po ramionach jego młodzieńcze krucze włosy, a w oczach, wzniesionych ku obliczu Nai, słaniało się uniesienie rozpaczy i żalu. Świeże wargi błagającego, czerwone jak kwiat maku, tak gwałtownie chwytały brzeg jej białej sukni, wyszytej u dołu kwiatami narzańców, jak gdyby hebrejczyk tonął i wciągał go pienisty wir odmętu.

Nai podała się lekko naprzód i wyciągnęła ręce, chyląc je ku dołowi, jakby chciała w nie ująć kędzierzawą głowę młodzieńca. Na jej ustach trzepotał się jak gołąb okrzyk rozkoszy.

Atoli pohamowała się. Przez twarz jej przemknął zwinny uśmiech i zalśnił bielą zębów i rubinem rozchylonych warg.

— Józefie — rzekła — wstań od mych stóp.

http://rcin.org.pl

Patrz oto, jak wielki dzień, jak groty słoneczne przepalają białe mury, jak żar rzuca się na senną trawę, jak drzewa zacichły i skurczył się cień, jak siwy kurz stanął i zastygł w powietrzu. Wszystko omdlewa... Azali chcesz, by pani twoja słuchała próśb tak gorących, zamiast oświeżyć głowę i łono kąpielą. Idź, ufaj sercu, które miewa sny dobre, a przyjdź do mnie, gdy zalśni łódź dobrotliwej Izys. Będę nosić prośbę twoją na sercu dzień cały, jak kwiat lotosu.

Uśmiechnęła się, odwróciła i odeszła zwolna, jak gazela, gdy nasyci pragnienie.

Szelest poruszonej opony zamarł, kroki jej umilkły, a on jeszcze nie wstał. Bił głową o posadzkę i szeptał zdławionym głosem:

O Jahwe wielki, o Jahwe potężny, o Jahwe mściwy, daj mi pomstę! Niech w namiotach ich światła radości zagasną! Niech ciemność paszczę rozdziawi i pochłonie bezbożnych! Zbrocz szczękę łaknących hyen posoką bluźnierców! Niech drapieżne sępy wyłupią oczy niemowlętom ich! Skaź oblicze córek zalotnych, poraź ogniem trzewia niewiernych i daj niech pustynia płacze i skomli po nich! Uczyń sprawiedliwość, a poznają ludy moc Pana mojego, a rzeką: Oto jest Pan i Bóg wysoki!...

I wśród grobowej ciszy upału biadania jego wyły, jak wiatr żałosny w ruinach.

Po dniu gorącym nasunął się chłodny wieczór.

http://rcin.org.pl

Z kwiatów płynęły wonie, jak dym z kadzielnic. Ogród tonął w srebrze sierpa księżycowego jak w cichym śnie kryształowym. Drzewa w milczeniu słuchały wiekuistej pieśni nocy. I nagle niby oddech gorący przychodziła fala skwarna i drzenie szło przez powietrze niby dwu ciał, splątanych rozkoszą miłości. I ocknione ze złocistego marzenia gwiazdy iskrzyły się i kapały kroplami złota w nieogarnione otchłanie niebios.

Było to na tarasie. Wszedł Józef, stąpając cicho, w szacie białej i złożył głęboki ukłon przed Nai. Potem siadł u jej stóp i milczeli oboje. Wreszcie przemówił, a głos jego drżał, jak ręka młodego grajka, gdy o miłości marząc, zagra:

— Błagam cię pani, zlituj się nad braćmi moimi. Serce mi mówi, że do ciebie mam się zwrócić, że ty ocalisz pokolenie Abrahama. Słyszę, jak usta ukryte szepczą mi imię twoje. Może to głos Jahwe, może On cię wybrał. Serce Pharaona jest w twoim ręku, a ręka jego robi to, czego chce twoje serce. Będę czcił imię twoje i wysławiał je wdzięcznym językiem.

I pochyliwszy się objął jej nogi.

Nai zamknęła oczy i pogrążyła się w zadumie. Cichy, wrzący uśmiech chodził po jej wargach. Wyciągnęła ręce i pogrążywszy je we włosy młodzieńca, napawała się niemi jak słodkim owocem i wonnym kwiatem. I rzekła po długiej chwili milczenia, kiedy słychać było głos nocnego ptaka, żałosny i nawołujący:

— Włosy twe wonne są i miękkie, Józefie...

http://rcin.org.pl

— Ród mój cierpi, o pani!...

Chyląc purpurowe usta nad jego czołem, szepnęła błagalnie:

— Oczy twoje są jak gwiazdy skąpane w wodzie...

Ale słowa jej przemknęły po nim, jak wiatr po chłodnym marmurze, i hebrejczyk mówił:

— A gdym siedział dnia jednego na wzgórzu, zapadł wieczór i zrobiło się ciemno. A gdy zrobiło się ciemno, zapłakałem, bo w mrokach widziałem blade twarzy braci moich, a jęki mordowanych weszły do piersi moich i rozsadziły je. Podniosłem ku Panu serce i ramiona, ale Adonai zasłonił się obłokiem i nie chciał mnie słuchać. Wtedy dreszcz rozpaczy przeszedł po mnie i złamał mnie. Upadłem, a włożywszy twarz między kolana, modliłem się długo i gorąco, jak człowiek, któremu śmierć zimną twarzą w twarz patrzy. I usłyszałem niby szum wód dalekich albo gwar wiatrów, a wejrzawszy ujrzałem, że ziemia pełna była blasku, a niebo gorzało od gwiazd. Poznałem, że Jahwe usłyszał wołanie moje i płaczu mego wysłuchał i uspokojenie weszło we mnie stopami białemi, jak skrzydła gołębicy. Zawinąłem się w płaszcz i wróciłem do miasta. A gwiazdy, złote oczy Jahwe, patrzyły na mnie, jak szczyt piramidy patrzy w pustynię. Na włosach czułem ich blask i dotknięcie. I oto patrz, nadobna pani, znów te złote źrenice Jahwe patrzą cicho na ciebie i na mnie i na wszystko, co oddycha. Jahwe jest wszędzie, nad sadzawkami temi unosi się dech jego wszechmocny... O Elohim, Elohim!

http://rcin.org.pl

Zamilkł i jak olśniony zakrył oczy dłońmi, a Nai, poczekawszy nieco, przemówiła:

— Mylisz się, Józefie, nie znasz ty wiekuistego Jah... Nie znalazłeś go jeszcze... Niepojęty on a przejasny, ale nie znasz go, mówię, miły mój, bracie mój... Gdybyś go znał, zali prosiłbyś za hebrejczykami?... Miałbyś serce dalekie od nich, jak daleka jest gwiazda od chwastów polnych. Zaprawdę, brudni są oni i wstrętni, jak każda tłuszcza, gęby mają pełne sporów, a brody oplute. Nienawidzą oni ciebie i mnie i wszystkiego, co piękne, i wzbija się wysoko, jak sokoły powietrzne, i co ma własne świetne sny i tajemnice. Jah wiekuisty pogardza nimi. To nie synowie światłości, to są wyrodkowie mgły i pleśni! Dusze ich to mroczne jaskinie, pełne zaduchu, lepkiemi pajęczynami zasnute!... Są jak woda, kiedy się zastoi i cuchnie i padliną naokół zionie!...

Urwała i pogrążyła w oczy młodzieńca długie, gorące spojrzenie, jakby budziła i badała jego serce. Ale twarz Józefa okryła się smutkiem, jak nieprzenikliwą zasłoną, a oczy gorzały ogniem samotnej czatowni w pustyni. I rozpostarłszy ręce jak ptak skrzydła, Nai poczęła wołać:

— Ale tyś nie hebrejczyk, tak mówi serce moje, tyś śliczny syn kraju Kemi! Jak błyskawica jesteś piękny! Jak orzeł jesteś dumny! Jak paw jesteś wspaniały! Głos twój jak szept gromu w obłokach! Oczy twe jak dwa wnętrza puharów złotych! Jesteś jak świt poranku! Powiedz, co ci się stało, miły mój! Czy zły duch cię opętał lito-

http://rcin.org.pl

ścią! Czy czarownice cię urzekły, że wstydu nie znasz i myślisz o niegodnych! Może bluźniłeś bogom jasności? Może ty śnisz, obudź się, miły mój, bracie mój, a patrz na mnie! Jestem kształtna i gorąca, a dusza moja pragnie! Wargi ust moich rozchyliły się, piersi i uda płoną! Będę cię piła jak wino, jak moszcz purpurowy smakować cię będę!

I obnażywszy łono wzięła głowę Józefa, a piersiami szukała jego warg.

Ale on odepchnął ją i powstał blady jak człowiek, któremu pod stopami ziemia się roztwiera. A z ust jego i łona wyszedł zrazu głuchy okrzyk, jak warczenie psa albo bełkot człowieka, któremu przed chwilą język wydarto i który ma jeszcze usta krwi pełne. Powstawszy począł się oddalać i nie spojrzał na nią, jeno płakał, złorzeczenia miotał i drżąc klątwami pluł na bogów, naród i krainę, którą święty Nil błogosławieństwem darzy.

Cicho było w komnatach Nai. Żółte języki ognia nie odbijały się w srebrnych zwierciadłach, ani śpiewały pięknoramienne dziewczęta, ani lśniły ogromne sinawe białka ich oczu, ani cudne kolana ich nie tonęły w purpurze kwiatów, jak w puchu flamingów. Zgaszone były światła i ciemność nocy pełzała po wzorzystych kobiercach wśród niemych cytr i fletni. Nai leżała samotna — na łożu twarzą w dół, jakby umarła. Cicho płynęły godziny nocy i Famenofis, święta gwiazda miłości, zalana złocistemi łzami gasła, gdy Nai podniosła głowę. Twarz

http://rcin.org.pl

jej była pusta jak niebo, z którego gwiazdy uciekły. I serce jej uderzało leniwie, jakby się znużyło śmiertelnie, a cała świetność jej ognistej radości uleciała od niej jak ptaki, gdy na wyraj lecą.

Nai wyszła na taras i stała, patrząc w blade oblicze przedświtu. Gwiazdy topniały, Jahwe zamykał złote źrenice, ogarniony przesłodkiem upojeniem wiekuistego czuwania i samotności. Noc uchodziła, wlokąc za sobą olbrzymi cień, a na wschodnich krużgankach widnokręgu zapalały się już dymiące różowo pochodnie.

Ale chłodna posadzka tarasu paliła stopy Nai. Miejsce każde wydawało się jej pełne zdradliwych podszeptów i złego chichotu. Wróciła do komnaty i klasnęła w dłonie. Naga, jak posąg miedziany, weszła Aminta i, pochyliwszy się, skrzyżowała ręce na piersiach.

Nai rozkazała:

— Niech wejdą powiernice i służebne moje.

Weszły niebawem, piękne jak kwiaty słonecznych ogrodów. Jedne miały włosy złote jak płomień bursztynowy, a w oczach pogodę lazurowych niebios; inne — włosy jak bronz jarzący, a w oczach zieleń głębokich źródeł; włosy innych jeszcze były jak heban, a w okolonych sinem białkiem źrenicach spała noc ciemna, głęboka jak otchłań morska, gorąca jak płomień, gwiaździsta noc!

Najstarsza była czarna na skórze, a w oczach jej szydziła nędza nadciągającej starości. Twarz miała płaską, wargi grube, wywinięte i mokre, jak czerwone cielska zimnych ślimaków, a piersi jej

http://rcin.org.pl

obok piersi tamtych pięknych były jak owoc wyssany obok owoców pełnych soku i miąższu.

Do niej zwróciła się Putyfarowa głosem ściszonym, jakby gardło miała ściśnięte żelazną obręczą:

— Niech zdejmą suknie...

Szaty spłynęły na posadzkę, jak kipiące mleko, i olśniewający czar młodych ciał napełnił pokój złotem światłem i weselem, jakby dźwiękami pieśni miłosnej i wonią kwiatów... Stały nagie, z opuszczonemi rzęsami, a łuny trwożnego czekania biły im z czół... Chwila jeszcze i oto szczękać poczęły zęby i drzenie przeszło po ciałach, jak tchnienie wiatru po miękkich chwiejnych gałązkach.

Putyfarowa wzniosła głowę i błysnęła szkliwem rozszerzonych oczu. Dała znak ręką starej szpetnej niewolnicy i rozpoczęło się smaganie.

Bicz świszczał, zwijał się i ciął, jak rozzłoszczony wąż, gdy ciska się i kłapie wściekłemi zębami.

Gdzie ugryzł, tryskał jęk i dygotały członki. Czerwone korale krwi jak rosa wystąpiły z pod skóry. Rozchyliły się usta i napełniły obłąkanym krzykiem, a źrenice zakipiały gorzkiemi łzami. Zapach rozgrzanego ciała uniósł się od biczowanych i łaskotał nozdrza żony Putyfara, które rozszerzyły się jak nozdrza lwicy, wietrzącej świeże mięsa, a okrągłe łono jej wzdęło się od żądzy. Padła na kobierzec, zębami szarpała go, jakby drzeć chciała. Nogi jej kopały, jakby broniąc się, i nad wrzawą łkań smaganych dziewic strzelił nagle ku sklepieniu jak ostrze włóczni i drżał pod niem śmiech jej, potoczył się jak kula z dźwięcznego kruszcu, zawył

http://rcin.org.pl

skowytem rozkoszy, zamarł i buchnął znowu. Usta jej rozdarły się szeroko od śmiechu i jęczały, łkając wyrazami:

— Och, krwi twojej, Józefie, pięknej jak płomień i kobierzec purpurowy! Ujrzałam cię po raz pierwszy pod konarami cienistych sykomorów. Siedziałeś sam u studni, ale pilnowała cię krew twoja czerwona. Szeptała ci do ucha o dalekich, miodem i mlekiem płynących krainach ojców twoich, a ty uśmiechałeś się, nie widząc mnie. Na niebiosach wieczornych palec krwi tej pokazywał ci drogę błąkania plemion hebrejskich, i nie ujrzałeś czaru bioder moich! Ach, to ona pokazała ci pewnie nieme, płomienne usta córki z pokolenia Abrahamowego, to ona ujęła cię za ręce i rzekła: Patrz w gorące ognisko świetnych, długiemi rzęsami nakrytych oczu jednej z córek rodu twojego, oblubienicy twojej! Nienawidzę krwi twojej, Józefie! Jest ona dla mnie jak wrogi dech, jak złe przeznaczenie zawisła nade mną! Rozleję ją i deptać będę! Rękami zaduszę ją! Zdławię jej krzyk, co po nocach spać mi nie daje! Przez nią jestem dla ciebie jak pustynia dla dziecka, jak owoc dla nasyconego, jak szmer fal dla głuchego, jak gwiazda dla utopionego! Ach, pogrążyłeś się ty w niej, w tej oblubienicy twojej, jak żagiew w mroku podziemi, zamknąłeś się w niej, jak w naczyniu srebrnem i nie masz już ognia dla mnie! Ale nie będziesz z nią spał, Józefie, oblubieńcze nocy i żądzy mojej!

Wstała i oddaliła ręką niewolnice, rozkazawszy,

http://rcin.org.pl

by przyszedł dowódca straży, który czuwał wonczas nad domem Pharaona.

A gdy przyszedł, rzekła:

— Józef hebrejczyk zgrzeszył przeciwko mnie. Sięgnął po mnie ręką zuchwałą. Nie chcę, by zginął śmiercią, lecz niech nigdy już nie zazna rozkoszy łożnicy z żadną, niech mu odjęta będzie męzkość jego.

Zdjęła pierścień z palca i podała go dowódcy, mówiąc:

— Weź pierścień ten lwa królów Pharaona a czyń, co rozkazałam.

Nizko się pochyliwszy, dowódca odparł:

— Pharao, wspaniały pan nasz, niech żyje na wieki. Stanie się, jako chcesz, nadobna pani.

Odszedł. Nai rzuciła się znów na łoże i ręce jej do ziemi opadły. I tak leżąc, czekała i nasłuchiwała, czy ciszy poranku nie rozedrze straszliwy krzyk kaleczonego. Skupiła się i zwinęła, jak zwierzę dzikie, zmrużyła oczy i słuchała, tłumiąc oddech w piersi i przebierając uchem odgłosy zarania, jak biała dłoń przebiera klejnoty.

Świt rozlał się i pachniał jak wino. Modra zasłona poranku falowała nakształt wierzchu wyniosłej palmy. Widnokrąg był świeży i wesoły niby złocista, młoda pomarańcza.

Nai czekała.

Wreszcie słyszeć się dały kroki i wszedł dowódca straży. Żona Putyfara wstała i wlepiła weń spojrzenie, jak w złowrogie widmo.

— Czyś spełnił?

http://rcin.org.pl

Dowódca padł na kolana:

— Podnóżkiem twoim jestem, o pysznowłosa! Niegodnym, byś stopę w gardło mi wbiła! Niech promienna Hathor otoczy cię radością, jak lasem palmowym. Rozkazu twego nie spełniłem, bo sprośny ów zuchwalec, Józef hebrejczyk, jest trzebieńcem...

A dowódca straży, wróciwszy do Józefa mówił:

— Przyjacielu mój, mądry wykładaczu snów, podstęp twój jak grom powalił tę kobietę. Łono jej kipi szaleństwem, a cała wije się po posadzce jak gadzina, gdy ją oszczep przybije do ziemi. Szpony wściekłego wstydu i podejrzliwości szarpią jej trzewia. Nie podniesie się już przeciw tobie zemsta rozsrożonej, wydarłeś żądło jej. Milczeć będzie, jak cień krokodyla na słońcu. Strach przed koślawem obliczem śmieszności zatka usta jej ołowianą dłonią.

A Józef odrzekł:

— Na modlitwie zeszła myśl do mnie, jak się mam od tej napastliwej zastawić. Bóg mój jest wielki.

http://rcin.org.pl

KARA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Obłoki mają już miękką puszystą bezwładność. Są białe, atłasowo białe na słońcu w załamach, a przed wieczorem lśnią jak podbite złotem.

Przeszła koło mnie w ów wieczór zapadający, gdy złoty pierścień zachodu otaczał miasto niby sierp olbrzymi. Przeszła ze słodką, tak ukochaną przeze mnie zadumą, która pochodzi ze światów błogosławionych. Cichy, wilgotny zapach zroszonych kwiatów był w jej oczach. I uniosła je z przed moich oczu, jak naczynia pełne wonności i złota.

. . . . . .

Spotkałem ją znowu, tę jedyną, na której widok dusza moja wydaje okrzyk radości. To ona — rzekłem — to ona.... Jakże jest piękną... Patrzyłem na nią z rozkoszą i pozwoliłem jej odejść. Nie z bojaźni uczyniłem tak, ale dlatego, że było coś zawrotnie miłego w tej utracie, w widoku jej wyniosłej postaci, ginącej w półmroku ulicy.

. . . . . .

Ach, chciałbym tracić cię wiecznie, by odzyskiwać znowu i znowu! A dlaczego tak cię kocham? Bo w twojej osobie, którą ja widzę, wszystko niemal jest tajemnicze i nic nie umiem nazwać po

http://rcin.org.pl

imieniu. Jesteś cała źródłem uczuć świeżych, które rodzą się przed wzrokiem moim po raz pierwszy. Nie słucham prawie tego, co mówisz wobec wszystkich, lecz słucham ze drżeniem niemal twego głosu, patrzę chciwie na twoją głowę, w twoje oczy, na ręce. Krzyczeć chcę, gdy się poruszasz lub powstajesz. Zdaje mi się wtedy, że chcesz mi coś powiedzieć, że mi coś mówisz tajemnie, cicho, z słodką wymową warg bez głosu. I miewam sny cudowne o tych rozmowach naszych i serce mi wzbiera ogromną rozkoszą i drzy, jak białe wątłe kwiecie w promieniach księżycowych.

Oto siedzisz i rozmawiasz wesoło z innymi, nie patrząc na mnie, świeża i radosna jak dziecię, i tylko przy pożegnaniu to spojrzenie długie, głębokie, promiennie piękne upada mi na duszę, jak biały wilgotny kwiat na gorące czoło.

. . . . . .

Omal nie zabłądziłaś, sama chodząc po lesie życia, lecz ja ci ukażę drogę. Zaprowadzę cię do źródeł przeczystych. We włosy twoje włożę białe perły — łzy wszechwładnego morza. Oczom dam blaski zórz i promienność jutrzenek. Otworzę je na cuda niebieskie i na rozkosze ziemskie. Nauczę melodyjne głosy twej duszy łkać z rozkoszy. Kochać ci dam rzewność naszej ukrytej przyjaźni. Dam marzeniom twoim śmiałość i będziesz wielbić je i podziwiać. Opowiem ci o dzieciństwie mojem i o moich przeczuciach. A ty obudzisz śpiące we mnie zamyślenie o rzeczach wielkich i czystych. Odwrócisz od mej

http://rcin.org.pl

głowy ciężary smutku, które toną w niej, jak księżyc w głębi przezroczej jeziora.

Z blasków księżycowych urodziła się lilja. Są w niej zamyślenia gwiazd tych, co, świecą, i tych, co już zgasły. Lecz w tobie jest źródło, które przelewa się w duszę moją z szeptem czarownym.

Tak mówiłem. A kiedy Marya odeszła, długo jeszcze siedziałem w ogrodzie, marząc o jej pięknych oczach i o tych westchnieniach, które, kiedym mówił, z ust jej wybiegły i unosiły się jeszcze nad śpiącemi kwiatami. Twarz jej jaśniała dziwnie płomiennem życiem.

Słońce zgasło i wiatr się podnosił. Wypadał z dalekiego lasu i od brzegów widnokręgu. Zdjąłem kapelusz, aby ochłodzić czoło, pałające od marzeń...

. . . . . .

Trwoga cię zdjęła. Sądzisz, że ręce ludzkie nie mogą nie mieć pazurów. Dręczy cię to, że ukrywać się nam trzeba z naszą czystą miłością. Lecz tak być musi! Nie można, by ktokolwiek wiedział o tem z ust naszych. Ukrywajmy się przed okrucieństwem ludzkiem — my, dwoje niewinnych dzieci wśród ludożerców.

Wiedz, że ja kocham każdą twą myśl, poczętą w czystej samotności, każde twoje spojrzenie, usiłujące ulecieć daleko. Chwytam je, jak strzałę złotą do swego kołczanu, zachwycam się klejnotami, które ty rozpraszasz.

O Maryo! Z głęboką milczącą czcią oczekiwałem chwili, kiedy miłość obejmie mnie jak pożar,

http://rcin.org.pl

nie kładąc zapor temu niebieskiemu ogniowi. Twój charakter, ukochana, jest święty i nietykalny dla mnie, podziwiam go i wielbię uroczyście, nie usiłując zmienić lub przekształcić.

. . . . . .

Pytasz mnie, czy nigdy nie kochałem innej? A ja kładę ręce na piersi, pogrążam się w zadumie, aby ci dać odpowiedź prawdziwą, i mówię: tak. Nigdy nie kochałem nikogo prócz ciebie. Czyż mógłbym pokochać jedną z tych istot, które po kilku dniach stają się dla mnie kartą odsłoniętą i pustą?... Nie. Bałem się takich miłości. Chorowałem na nie wprawdzie, ale, idąc na spotkanie, szedłem z trwogą lub niesmakiem znużonego oczekiwaniem daremnem. Przymykałem oczy i udawałem, że nie widzę strasznej różnicy między snem moim a rzeczywistością. Ty zaś wyobraźnię moją uczyniłaś lotniejszą i wyższą. Tyś pierwsza odczuć mi dała zachwyt nieprzeczuwany. Wzbogaciłaś moją wiarę w rzeczywistość, ozdobiłaś istnienie moje złocistym przepychem.

. . . . . .

Lecz nie sądź, Maryo, żem wyrzekł się ludzi i chcę żyć z tobą na pustyni. Porównanie z tobą jest jednak zawsze twojem zwycięstwem, a radością moją. Kocham życie więcej, niż wypowiedzieć zdołam, odkąd cię poznałem i odkąd oczy twoje świecą moim nocom, i dlatego patrzę pilnie w siebie i w innych. Ta ciemno ubrana kobieta, wysmukła, z twa-

http://rcin.org.pl

rzą niemal surową i bladą, odwiedzająca ukradkiem o zmroku mego sąsiada, budzi we mnie ciekawość i szacunek, który jednak niewiele ma wspólnego z szacunkiem w zwykłem pojmowaniu tego słowa. Zajmuje mnie jako istota, posiadająca swoją tajemnicę i sprzeczność: żar, przysłonięty śniegiem.

. . . . . .

Wysokie drzwi kościoła otworzyły się nagle. Wdarł się szum deszczu i poświst wiatru. Żółte płomienie świec pochyliły się ku ustom skrzydlatych aniołków. Ojciec-zakonnik oburzył się, bo chłodny pęd powietrza musnął mu łysinę. Lecz śpiewał wtedy Prefację, nie mógł więc obejrzeć się i zgnębić przybyłej spojrzeniem. Podniósł tylko głos rozdrażnionego serca, ofiarując Bogu ten krzyżyk męczeński. Lecz kilka jadowitych dewotek zwróciło się do przybyłej z iskierkami złości w oczach, nie przestając jednocześnie poruszać wargami i trzymać rąk złożonych pobożnie.

Młoda dziewczyna, sprawczyni tego nieszczęścia, uklękła szybko obok wielkiego ołtarza z oczyma spuszczonemi. Wielki jasny rumieniec zalewał twarz skromnej winowajczyni.

Zaczęła się modlić, a rumieniec zwolna bladł i znikał. Wreszcie podniosła głowę, a wtedy twarz jej była blada, a oczy jasne...

Marjo, czy znasz ten kościół, gdzie na kopule, w półcieniu Chrystus rozmawia z Samarytanką? Marjo, czy poznajesz tę skromną, zawstydzoną dziewczynę?

http://rcin.org.pl

. . . . . .

O, Marjo! Marjo!

Kiedy usiłuję wzruszyć swe serce widokiem szeregów ludzkich, pełznących od kolebki do grobu w ciemnościach błędów, z jękiem na ustach lub niedoskonałą pieśnią, kiedy usiłuję się zamyślić nad nieszczęsnem istnieniem tysięcy — wtedy serce bije wolno i spokojnie. Zabardzo sam pragnę. Serce me zabardzo samo łaknie złocistego napoju życia, a wargi zbyt silnie drżą do świeżej atmosfery gór i mórz. Ale kiedy pomyślę o tobie — powietrze staje się pełne światłości i serce jak ptak wyrywa się ku tobie. Cała moja tęsknota gotuje się do wielkiego święta miłości, gdy pomyślę o tobie. Dusza moja ubiera się w białość anielską...

. . . . . .

Gdybym wiedział, że jedno słowo moje będzie wymówione daremnie, że odwrócisz głowę obojętnie lub z niedowierzaniem od jednego zdania, broczącego krwią mych tętnic — wtedy czuję, że musiałbym cię opuścić, odejść od ciebie. I mróz bije na mnie od tej pustki bez kresu, w którą ja odejść bym musiał. Czuję, jak zimno chwyta stopy moje, jak obejmuje plecy, kark i głowę, i pomyśleć muszę o twych oczach, aby w tych samotnych krynicach szukać uspokojenia.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Chcę odsłonić przed tobą pewną właściwość swego charakteru. Jest to niecierpliwość, której niema we mnie, kiedy nie kocham, lecz powstaje i zdobywa straszliwą władzę, gdy kocham. Niecierpliwość fal morskich, gdy z szałem ukropu staczają się w otchłań morza. Nie wódź mnie na pokuszenie, Marjo! Nie skazuj mnie na męczarnie głodu. Mogę upaść nagle i skonać, gdybyś się nie ukazała, kiedy czekam, gdybym cię dzień jeden nie widział, kiedy pragnę twego widoku. Mógłbym — o przebacz mi! — mógłbym cię znienawidzieć, gdybyś dnia jednego zawiodła me oczekiwanie. A nienawiść taka zostaje w duszy, niby pręga sina na ciele po uderzeniu hańbiącem, zostaje na długo i nie chce roztopić się i zginąć jak chmurka niebieska...

. . . . . .

Oto zwierzam się przed tobą i duszę odsłaniam, bo cóż innego dać mogę tej, co tak hojnie mnie obdarzyła!

Czarne chmury rozerwały się i krocie gwiazd wybłysły. O, gdybyś wiedziała, jakie skupienie, jaka cicha zaduma była w tych gwiazdach! Białawe kuszcze drzew, co zasnęły przed wieczorem, zapatrzone w złoto niebios, — szare, długie sznury ulic, pochłaniające ogromne budynki, pogrążone w mrok tak uporczywy, jakby wiecznie zostawać miały w czarnym uścisku!

Uczułem tęsknotę i smutek. I z kryjówki mej duszy, z głębin, jakich nie dosięga światło myśli, wybiegły wtedy widma znikome cudownej piękności.

http://rcin.org.pl

Czy, znasz Marjo, tęsknotę za odległym zamglonym widnokręgiem, do którego wzrok nie sięga wyraźnie? Zawsze mi się zdaje, że się tam dzieją rzeczy dziwne i że wymykają się tylko przed moją źrenicą. I chwilami już chwytam je, już chwytam — i oto zostaję znowu w ciemności i samotnym.

. . . . . .

Przed tobą, Marjo, kochałem tylko samotność...

Samotność, która jak kwiat w ustroniu, wyrasta w duszy i napełnia ją wonnością.

Samotność dni letnich, kiedy powietrze jest przezroczyste jak djament, kiedy widnokrąg jest błękitny, u pochyleń fiołkowy, i wisi gdzieś niezmiernie wysoko. Kiedy oko doznaje lekkiego znużenia, patrząc w górę, jak gdyby wzrok był ptakiem, ulatującym pionowo w promieniach, srebrzących mu skrzydła.

Samotność wieczorów w ogrodach, kiedy dusza błądzi po ścieżkach krzemiennych, wabiona, jakby słodką muzyką oddaleń.

Samotność dni jesiennych, kiedy dusza upaja się wędrówką w dal nieokreśloną a łakomą obłoków spiętrzonych, ogromnych, miejscami błękitnawo-zielonych, jak od wilgotnego mchu.

Samotność i ciszę lasów, kiedy człowiek, znalazłszy się w ostępie, czuje się zawstydzonym, jak zwierzę, które wbiegło do świątyni.

Samotność wszystkich dusz czystych, które kochają piękno zawarte w sobie, i dlatego są samotne.

Samotność nagle usłyszanych melodji, skrzypiec lub fletu, podczas wędrówki i zmęczenia.

http://rcin.org.pl

Samotność oczu, których piękno objawiło się nagle w nawie kościelnej, zajaśniało jak opal, rzucony nam na dłoń miłosiernie i — zgasło nazawsze.

Kochałem nawet tę bolesną samotność, kiedy się zdaje, że przyjaciele nasi odbiegli nas i na ustronnych drogach pokonali.

. . . . . .

Po długiej słocie ukazało się jasne niebo. Słońce już zaszło, a zmierzch się poczynał. Po szmerach deszczu cisza na niebie jak w pustej świątyni. I na zielonej kopule chmura rozłożyła ciemną oponę.

Było to uspokojenie niebieskie, a chmura owa płynęła zwolna w dal jak łódź, unosząca znużonego króla. I wśród dwóch szeregów domów kamiennych małe postacie ludzkie kręciły się tu i ówdzie, nie widząc nad sobą wielkiego, tajemniczego oblicza, które umilkło po długim wysiłku.

Ale ja znam to! Znam szepty liści, olbrzymi oddech w górach i ciche westchnienia ziemi, które chwytają chciwie kwiaty nocne. Znam zadumanie, w którem kipi war życia...

Gwiazdy zabłysły... O pozdrowienie wam, jasne pochodnie szczęścia, jakiem poić się będziemy kiedyś, o Marjo moja, w krainach, o których marzą teraz niebiosa.

. . . . . .

Odnalazłem w sobie tajemne, dziecięce krynice zachwytu!

http://rcin.org.pl

Nie poznaję już duszy mojej! Tak piękna stała się dusza moja! To, co leżało w niej zaśniedziałe zabłysło, zalśniło barwami jarzącemi; obudziło się — senne, sprostowało — krzywe, buchnęło — płomieniste, zaśpiewało — dźwięczne, zadzwoniło — dzwonne, zapłakało — rzęsiste, zatańczyło — lekkie...

. . . . . .

Jakże pożądam Marji! Jej głowa jest żywa i dumna, jak pyszny różowo-biały kwiat, pełen odurzającego zapachu. Wargi jej mają wygięcie królewskie. Włosy jej opadają lekko na czoło, jak złociste gałązki rajskiego drzewa, znużone, pragnące spoczynku. Dziś w nocy, oszalały z namiętności, całowałem szare powietrze pokoju, szukając jej ust.

Potem, by ochłonąć, wpatrywałem się przez otwarte okna w gwiazdy, błyszczące z poza drzew.

Działanie nocy jest tajemnicze, smutne. Marzę o tem, że ponad głową moją unoszą się małe ciemne ptaki i cicho szeleszczą miękkiemi skrzydłami. Każdy ptak ma smutną, cichą duszę. Unoszą się one wszędzie, gdzie jest ciemność, jak roje komarów nad błędnym ognikiem. Czyż nie szemrzą nademną westchnienia? Rzucam ciche, uporczywe spojrzenia w ciemność, jakgdybym tam miał dostrzedz twarz utraconą, o której zapomniało me serce.

Usnąłem znużony jak spłakane dziecię, a obudziłem się z głuchym smutkiem. Miałem w duszy bezwładność, jak po długim płaczu. I nagle tłum szarych myśli spadł na duszę moją, jak ulewa zwię-

http://rcin.org.pl

dłych liści na wielkie, samotne schody kamienne. Zdawało się, że zapomniałem o Marji.

Ale jej widok obudził mnie znowu i dusza moja odurza się jej pięknością. Kiedy mówi, słucham ze łzami, a gdy milknie, chcę ją porwać w objęcia i wypić jej cudowne usta. I nagle przechylam głowę i zaglądam daleko, daleko w głąb szafirową jej źrenic.

. . . . . .

Czy tylko pięć zmysłów mam, gdy jestem przy tobie? A raczej, czy wtedy zmysły moje nie stają się innemi, czy nie są piękne, dzielne, jak gdyby odrodzone? Głos, dźwięk, barwa, wyraz tracą swą ograniczoną samodzielność, zlewają się z sobą, tworzą upajającą harmonię, jak grono pięknych dziewic w tańcu. Odnajduję ukryty tajemniczy wyraz w budynkach, w kamieniach przydrożnych. Otwierają przede mną oczy, zamknięte od wieków, i patrzą na mnie zagadkami stuleci, duszą zdarzeń, które zasnęły w nich, jak w sarkofagach.

Nie, klnę się na moją krew: muszę mieć tę królewską dziewczynę! Chodzę za nią jak cień, a ziemia mieni się podemną jak kobierzec tęczowy, gdy ją widzę. Znużony jestem jej pięknością. Zbyt silnie wstrząsa mnie ona. Słyszę, jak krew syczy w mych żyłach: zbyt szybko się wypalam. Kiedy wieczór zapada — jestem znużony, złamany, oszołomiony, i złorzeczę swej miłości. Chcę jednym zamachem zdruzgotać Marję, lecz zasypiam, marząc o niej słodko.

http://rcin.org.pl

. . . . . .

Pragnę leżeć na miękkich makatach, cichych i miękkich jak powietrze pól w wieczór wiosenny.

Na makatach, gdzie konają kwiaty jedwabne i złociste kwiaty, marzące w skonaniu o piękności swojej.

Cicho otwierają się drzwi ze złotemi listwami, z progiem marmurowym, białym, jak czoło kobiety śpiącej.

Młoda dziewczyna wchodzi do mnie, jako gwiazda, która ukazuje się na szczytach gór i drży złotem światłem w atmosferze sinej.

Dziewczyna w jasnych sandałach, które przypina codziennie błękitnemi wstęgami do stóp swych białych.

Stąpa ona cicho, jak tchnienie robaczków świętojańskich, jak oddech chmurki w słońcu płynącej.

I ująwszy głowę moją w dłonie, poczyna w milczeniu, z wielką miłością całować mnie w usta.

A naokół powietrze płacze tęsknotą harf.

Ach, ja mam duszę pełną łez... Jest ona jak czara z kryształu pełna łez brylantowych!...

. . . . . .

Świt. Powietrze ranne, pełne błękitnawych blasków. Wielki ptak zerwał się i uleciał w gęstwinę. Jego skrzydła zabłysły szafirowo. Piasek na brzegu rzeki jest biały, cichy i ma dołki krągłe jak policzki dziecka.

Rzucam się w głąb wody, zanurzam z głową,

http://rcin.org.pl

rozdzieram fale uderzeniami ramion. Otwieram oczy pełne różowego światła.

Marja, Marja!

Widzę ją, jak leży na srebrzystych porostach, z ramionami pod głową, z cichym uśmiechem na wargach.

Dziwny jest czar twoich ust, których pragnę. Dziwnie słodki jest twój czar, o ukochana!

Ja pragnę twego pocałunku.

Pragnę, bo kocham cię tajemniczo i świetnie, z ogniem w oczach.

Pragnę, bo noc cicha, gwiaździsta noc, gdy kwiaty pachną, każe mi dumać tęsknie o twych ustach...

Bo gwiazdy uchodzą przed mem okiem obojętnem dlatego, że widzę tylko twe usta...

Bo noc nie mówi ze mną, a dzień się do mnie nie śmieje, lecz chodzę po mroku, gdzie kwiaty mają tajemniczy urok twych ust.

Bo pragnę wyzwolenia przez twe usta. Pragnę, by przez pocałunek twych ust buchnęły ze mnie płomienie, które mnie trawią.

Zapomniałem niemal chodzić przez to, że nie całuję twych ust. Śmieję się gorzko i serce mnie boli bez twych ust.

O, ukochane! O, upragnione usta, niech zginę, jeśli nie uzdrowią mnie wasze żary!

. . . . . .

. . . . . .

Miałem sen.

Nagle z głębokiego korytarza doszedł mnie

http://rcin.org.pl

szmer kroków. Ujrzałem postać kobiecą w kapturze. Lampa odrzucała na ścianę jej olbrzymi cień.

Weszła. Zsunęła kaptur. Marja — zawołałem: To ty, Marjo!

Porwałem ją w objęcia. Ucałowała mnie i zawisła mi na szyi. A gdyśmy usiedli, rzekła:

— Ja dawno chciałam przyjść do ciebie, bo wiedz, że kocham cię...

Nie mogła mówić więcej, lecz całowała mnie z uniesieniem, ja zaś mówiłem, jak szaleniec:

— O, jak piękne są twe gorące śnieżne piersi! Jak upajają one usta!

Pieściłem dłonią ich słodką zaokrągloną wysmukłość, a gdy podniosłem oczy na Marję, ujrzałem, że twarz jej oblewa rumieniec, a oczy połyskują. Blask rozkoszy palił się w jej źrenicach, a usta rozchylone miała jak do krzyku.

Wtedy pomyślałem: Czy to usta Marji? Czy to te same dumne, królewskie usta?

I podniosłem dłoń, aby ich dotknąć palcami. Gwałtowna radość grała mi w palcach, gdym je wyciągał.

A wtedy ujrzałem, jak te usta bladły, oddalały się i gasły niby gwiazda o świcie. Wyciągnąłem rękę, pochyliłem się naprzód, odczułem zimną pustkę i ciemność, krzyknąłem rozpaczliwie i upadłem.

. . . . . .

Spotkałem ją w południe, gdy wysokie topole rzucały na trawę cień krótki i gęsty.

http://rcin.org.pl

— Dzień dobry — rzekła. I z prostotą właściwą dziewczętom zapytała mnie o sen.

Wtedy sceny nocne stanęły mi przed wzrokiem. Uczułem, że krew wbiegła mi do głowy i twarz zalewa. Widziałem znowu pierś Marji, jak owoc zarumieniony na słońcu.

Staliśmy w milczeniu oboje, zawstydzeni, bezradni; ona odczuła me pragnienia...

Odeszła, gdym jęczał za nią: O, mój Boże! mój Boże! — z taką boleścią, jakby odejść miała nazawsze. A jednak już wtedy w piersi mej zapadło postanowienie, że dziś wieczorem ucałuję jej usta.

. . . . . .

Położyłem się, gdy ciemność zapaść miała, aby zasnąć na chwilę przed wieczorem. I myślałem z rozpaczą: Więc to jest życie? Nieśmiałość i skromna obłuda i ukrywanie najdroższych pragnień! Przerażała mnie ta myśl, gdym w sen zapadał. Ale obudziłem się lekko i poprawiwszy włosy zbiegłem szybko po schodach. Ogród był cichy, powietrze ciepłe i spokojne. A ja myślałem:

— A więc to tak świat dziś wygląda.

. . . . . .

Dusza moja wzniosła się na nowe wyżyny.

O, upojenie! O, powietrze czyste, balsamiczne, którem nie oddychały piersi niczyje, którem odetchnęły moje po raz pierwszy! O pęki róż purpurowych, które widzę naokół. O, upojenie wyczerpujące i wlewające nowe siły! Z jaką rozkoszą pa-

http://rcin.org.pl

trzę na nieznany widnokrąg, jak biją mi tętna! Ginę, tonę, porwany tym pędem odbierającym mi zrozumienie. Zalewa mi on uszy i oczy! Nozdrza me chłoną wonności czarodziejskie. Pocałunki rozdzierają mi duszę, zrywają z niej stare szaty. Wychodzi dusza moja uśmiechniona, strojna, złocista...

Dwie wargi wpiły się w duszę moją! Czułem je na duszy! Jak położyły się na niej rozkoszne, drgające, płomienne.

O, radości! Nie dajesz mi milczeć, Marjo! Oddycham tobą, idę za tobą, jestem tobą! Światło twoje ciągnie mnie ku sobie! Dusza ma w zdumieniu stoi w wielkiej świetlanej powodzi twej jasności!

Skądże trysnęły nowe siły? Czy nie stąd, gdzie śmierć widziały oczy znużone i tęskne? Stamtąd trysnęły moje siły ukryte! Czy nie od ciebie przeszły we mnie... o słodka, o darząca, o hojna!

Jadowitą i śmiertelną jest tylko powszedniość rzeczy ziemskich: mgła szara, unosząca się nad uliczkami przechadzek codziennych. Żegnam cię, żegnam, aby wrócić do ciebie!

. . . . . .

O, nieszczęsny! Szukasz pereł drogich, srebrzystych łez i wyznań dziewczęcych, brzmiących jak głosy anielskie, i ramion białych jak kwiaty jaśminu i uśmiechów złotych, jak słońce!... O, nieszczęsny! Wzdychając i tęskniąc za tem wszystkiem, chcesz-li zadowolić się gliną i potworem; płazem pełzającym nizko, garnkiem, napełnionym łojem! Chcesz-li po-

http://rcin.org.pl

stradać siłę swych popędów, ogień i dumę swych pożądań! Chcesz-li patrzeć bojaźliwie naokół, czy kto nie słucha twych westchnień, czy nie widzi blasku twych umęczonych oczekiwaniem oczu. Bądź śmiały! Otocz ramieniem zdobywczem kibić tej dziewczyny, która złożyła ci w ofierze usta!

. . . . . .

I stało się to wielkie zdarzenie: lato umarło!

I ujrzałem, jak z poza wzgórz wysuwają się niby paszcze potworów, ciemne, okropne chmury.

Zajęły one cały skłon widnokręgu, posuwając się naprzód i pożerając błękit niebieski. I ogromny groźny cień upadł od nich na pola i duszę moją.

Wiatr się zerwał. I posypał się płacz rzęsisty liści. I zakłębiły się, zaszumiały trawy i kwiaty i jęk biegł po polach.

I wbiegł do duszy mojej, jak obłąkaniec i zatrzasnął podwoje do słonecznych obszarów i radości.

I zmierzch wilgotny objął mi duszę: zapadła w otchłań, napróżno usiłując rozwinąć skrzydła i ulecieć.

I zapłakała. Siedziałem, obejmując głowę rękoma i płacząc nad zgonem lata i innemi zgonami, przed któremi przechodziła dusza moja.

I jak wielki dym z ognisk, tak ból napełnił moje serce, uderzając z głębin.

Czy nie wtedy usłyszałem łkanie twoje, Marjo? Łkanie Marji zdradzonej i nieszczęśliwej, z oczyma na podobieństwo księżyców obwiedzionemi otęczą niebieskawo-szarą?

http://rcin.org.pl

. . . . . .

Co za choroba woli, co za przeklęta niemoc ducha kazała mi powziąć ten zamiar nieszczęsny i wykonać go z okrucieństwem bezprzykładnem! Uciec od niej, od tej promiennej dziewczyny, co sama z radością biegła w me objęcia, uciec ze zgrozą i rzucić między nią a sobą zapory nie do-przebycia!...

Czy to przeklęta moc przewidywań cisnęła mnie na tę drogę zniszczenia?!

Nie posiadłem jej nigdy w rzeczywistości, lecz posiadałem odtąd w marzeniach. W marzeniach odczułem dreszcz jej potęgi piekielnej, trawiony ogniem żądzy, co zwija ciało, jak mróz kwiaty jesienne, co świat cały obraca w mglisty wyziew. Gałki mych oczu wywracały się rozpacznie w oparze wściekłej krwi. W upojeniu mistycznem jej kształty stawały przede mną w zarysach niepojętej, oszałamiającej potęgi, w odurzeniu ekstatycznej woni! Jej oczy, w których skupiony oczekiwaniem blask raził mnie, jak blask klingi, zachodziły mgłą, przymykały się i otwierały jak rozmarzone kwiaty. Jej usta żądne pieszczoty, czyste a namiętne, tajemnicze, pełne uśmiechów i goryczy, jakby upojone rozkoszą skarżyły się jednak boleśnie!... Wszystko, co kochałem niegdyś, co dźwięczało jak słodka pieśń, śpiewana przy gwiazdach, umarło we mnie. Byliśmy jak dwaj wrogowie śmiertelni, którzy mocują się na śmierć i życie z zębami ściśniętemi, wśród przekleństw i ciemności.

http://rcin.org.pl

Usta jej, gdym patrzył niewolniczo w głąb niedoścignioną jej oczu, przepaliły mi gardło i uderzyły w serce. Opustoszała dusza moja, jak komnata królewska, którą ogień złupi. Zagasły w niej światła, jako w domu wymarłych. Nie pali się już jak olbrzymia pochodnia, rzucająca snop krwawych blasków na okolicę.

A Marja, zwycięska i tryumfująca, odwróciła się w milczeniu i nazawsze odeszła od zwyciężonego kochanka.

I dławi mnie odtąd w pustce mojej szatan-sęp. Mój rozum szaleje i omdlewa, upada ze łkaniem na piasek nizin lub podnosi się nagłym rzutem wysoko — ponad wybujałe sosny pustkowi. Mieszka we mnie chłód zimny, uparty, żelazny. Moja słaba wola nie wychodzi na słońce. Ukrywa się w zmierzchu pieczar: wątła, chuda, rozpaczliwie znużona. Widzi śmierć i patrzy na nią bezwładnie. Kocha tylko bezczynność i nie ucieka przed nasuwającem się zniszczeniem... Nie wierzy w niebezpieczeństwo, które nie pochwyciło jeszcze za ramię żelaznemi szponami...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SŁOŃCE.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

n umarł — rzekła, gdy w drzwiach otwartych stanął wysoki, chudy mężczyzna.

Przybyły zdjął palto, powiesił je. Potem zwrócił się do kobiety z milczącem zapytaniem, które ona zrozumiała:

— Gdzie leży umarły?

Trzymając świecę w ręku, szła naprzód. Jej długa czarna suknia gięła się miękko i łamała bez szelestu. Wysoka i świeża szyja wydawała sie kusząco piękna, a twarz tchnęła uroczystym spokojem.

Przeszli przez kilka komnat. Mężczyznę uderzył zapach kurzu i wilgoci... Okiennice były zamknięte, meble w pokrowcach. Ciężkie świeczniki miały wygląd rzeczy zapomniamych. Zwierciadło, zasłonięte czarną oponą, nasunęło mu dziwaczną myśl, że zasłonięto je na to, żeby zachować w niem obraz zmarłego.

Wreszcie w dużym pokoju, gdzie okna były niedomknięte i tajemnicza czarna noc zdawała się zaglądać, leżał zmarły wysoko, w obitej srebrem trumnie. Zielono-żółte plamy, niby gnijąca kałuża rozpostarły się od nosa po usta—wielkie, jakby napuchłe. Dolna warga opadła i obnażyła sine dziąsła.

Ręce chude były jak piszczele, paznokcie lśniły

http://rcin.org.pl

jak marmur. Świece woskowe płakały rzęsiście nad tą gnijącą resztą człowieka.

Mężczyzna wpatrywał się w milczeniu w twarz brata. Nie widział go od lat piętnastu i nie mógł odnaleść podobieństwa do żywego człowieka, którego znał niegdyś. Tylko garbek nosa pozostał ten sam. Zresztą — wszystko w tym zesztywniałym trupie było inne, cudze i obmierzłe.

Zbliżył się do żony zmarłego. Litośnie schylił się i ucałował jej rękę.

Może składał w ten sposób cichy hołd cierpieniom tej młodej pięknej kobiety, która żyć musiała razem i patrzeć na długie z dnia na dzień konanie...

Tak zrozumiała zapewne jego postępowanie, bo jej oczy szybko napełniły się łzami i odwróciła ostrożnie głowę, aby ukryć rumieniec wstydu na twarzy.

W pokoju jadalnym, przy herbacie mężczyzna słuchał uważnie, gdy ona mówiła. Przez całe życie lubił on wsłuchiwać się, badać, porównywać. I teraz ta młoda kobieta, która podobała mu się, budziła w nim głuchą, rozkoszną ciekawość.

Cichy, zamknięty, pleśniejący duch tego domu, noce bezsenne przy chorym nie zgasiły aksamitnego blasku jej oczu, nie starły rumieńca... Usta jej były świeże i miłe jak u dziecka.

Myślał o tych nocach, kiedy wynędzniały chory zasypiał na chwilę, a ona czuwała przy nim. Ujrzał ją na mgnienie wyraźnie z głową opartą na fotelu... Na stopach miała ciżemki żółte, a za oknem wstawała lejąca blaski pełnia...

http://rcin.org.pl

Życie jej było trudne. Nie umiała utrzymać tajemnicy i spowiadała się przed nim z naiwnością dziewczynki. Jakże skąpym był nieboszczyk! Trzeba było oddalić służbę i pozostać przy jednej służącej. Połowę mieszkania zamknięto, aby jej nie opalać i nie oświecać. „Najlepsze moje suknie — skarżyła się — były zamknięte... Zamykał kredens, żeby się nie potłukły drogie filiżanki... Wieczorami siadywaliśmy długo po ciemku, aby nie wypalać nafty...

Płakałam, prosiłam go... Milczał... Uśmiechał się... Czułam, że cokolwiek powiem, wszystko napróżno... Kiedy szłam po mieście, zdawało mi się, że ludzie wytykają mnie palcami...“

— Dlaczego nie porzuciłaś go, pani?

Pytanie to niezmiernie ją zmieszało... Widocznie było niespodzianką i mężczyzna, zadając je, przekroczył w jej pojęciu zakres otwartości możliwej między osobami, które, bądź co bądź, widziały się dziś po raz pierwszy w życiu.

Znów się zalała rumieńcem i w tym wstydzie była tak piękna, że mężczyzna napawał się jej widokiem. Spojrzała nań ostrożnie, a widząc, że nie nalega, nagrodziła go spojrzeniem, w którem zalśnił ogień pieszczoty.

Pogrzeb odbył się bardzo przyzwoicie. Ksiądz w czarno-srebrnej kapie chwalił cnoty zmarłego, przybyli hamowali dyskretnie uśmiechy. Potem rozciągnął się orszak dość długi. Czarne chorągwie

http://rcin.org.pl

łopotały, bo czas był wietrzny. Wdowa szła w grubej żałobie...

Ludzie wypadali przed bramy, wychylali się z okien. Na przedmieściu ulicznik krzyknął:

„Tyle pieniędzy na pogrzeb! Pewnie nieboszczyk płacze w trumnie!“

Ale okrzyk ten przebrzmiał na pozór mimo uszu. Wszyscy szli w milczeniu, poważnie stąpając po wykrzywionym bruku i pragnąc, by ceremonia skończyła się jak najrychlej.

Trochę kadzidła nad grobem, dudnienie ziemi o trumnę... Potem ludzie zaczęli się rozpraszać, każdy podążył do pracy lub do próżnowania, czekając niefrasobliwie, aż i jego zaniosą na cmentarz.

Wdowa po powrocie do domu (pod rękę z bratem zmarłego, przyczem łzy kilkakrotnie puszczały się z jej oczu) zajęła się „opróżnianiem spiżarni“.

Zmarły jak kret ściągał do swej nory kawę, mąkę, cukier, świece... Wyglądało tak, jakby przewidywał oblężenie. Wszystko to leżało miesiącami, butwiało i tęchło. Trzeba było rozdać te zapasy... wywietrzyć zapach po nieboszczyku. Szybko zbiegła się do okna chmara biedaków, obszarpańców i żebraków. Każdy otrzymywał swoją część i odchodził błogosławiąc. Lecz przybywali wciąż nowi. Szli kusztykając, lub, zapominając o kalectwie, biegli cwałem.

Chciała obdzielić wszystkich. Gdy zabrakło zapasów i ubrania, sięgnęła do pieniędzy. Niektórzy z obdarzonych poszli się upić i wracali, śpiewając pieśni żałobne lub nieprzystojne.

http://rcin.org.pl

Wreszcie wieczór położył koniec dziełu miłosierdzia. Wdowa czuła w sercu zadowolenie, że przez dzień tyle zrobiła dobrego.

Kazała zapalić w pokojach wszystkie lampy i świece. Potem siliła się długo, zanim zdołała otworzyć zardzewiałym kluczem fortepian. Stary znajomy, który od tylu lat milczał i spał pod kurzem, drgnął pod jej ręką. Gama dźwięcznego śmiechu wybiegła z jego klawiatury...

Drgnęła i położyła palec na ustach...

Potem usiadła w wielkim fotelu... Oparła głowę na poręczy... Chciała myślą być przy zmarłym, ale zamiast tego wsłuchiwała się w daleki gwar kół... Myślała o tych wozach, które toczą się po szerokich gościńcach, o karecie z szybą lustrzaną, z której wysuwa się wązka niewieścia ręka, a on, jadąc obok konno, podaje jej różę...

A gdy wybił godzinę stary zegar gdański, wydało jej się, że wybiegła na zieloną łąkę w pląsach i... nago.

Potem myślała o tem, jak dom zwolna pustoszał, jak nie podnoszono zapuszczonych rolet i słońce wdzierało się tylko wązkiemi smugami, jak dziwnie skrzypiały posadzki, a zwierciadła pozasłaniane podobne były do „młodych kobiet w ciemnicy...“

„...I nigdy nie zapalano świeczników... — myślała patrząc na rzęsiście i wesoło płonące kandelabry. — Dlaczego?...“

...A gdy szłam wieczorami — myślała znów, jakby wydzierając się z jasnego — osłupienia, zdawało

http://rcin.org.pl

mi się nieraz, że nie jednego mam chorego, lecz w każdym kącie jęczą skrzywione szare usta...

Wstała i cicho przeszła do innego pokoju. Drżącemi rękoma, jak dziewica, wybierająca się na schadzkę, zamknęła drzwi na klucz... Uklękła przy wielkim, obitym skórą i spiętym żelazem kufrze.

Wyjęła z pośród innych ubranie z zielonego jedwabiu. Rozpostarła je na rękach i podniosła wysoko, pieszcząc oczy blaskiem materyi, delikatnością koronek... tajemniczym czarem wykwintnej i drogiej szaty, która, jak się zdawało, czekała na nią i oddawała się teraz...

Pokusa była zbyt wielka... Ach, choć na chwilę ubrać się... stać się podobną do młodej księżny z obrazu!...

Potem wyjęła łańcuch złoty i włożyła go na szyję... We włosy wpięła agrafę brylantową...

Otwarła drzwi i stąpając ostrożnie na wysokich obcasach białych trzewików, przeszła przez pokoje... Długi ogon ciągnął się za nią i szeleścił. Przelewał się i lśnił w zwierciadłach.

Wróciła znów do nowych skarbów. Ucałowała białą suknię muślinową ze złocistemi centkami... I drugą w kwiaty... piękną jak łąka w lecie... Z miłością i uszanowaniem wpatrywała się w czarną, mieniącą się suknię. Tej ucałować nie śmiała: zbyt poważna i surowa była mieniąca się, czarna suknia! Ale chciała ubrać się w nią, na rękę włożyć bransoletę z opalów... Czarna suknia i opale... Czy to nie strój stosowny dla młodej wdowy?

Ale w tej jedwabnej raz jeszcze przejść się po

http://rcin.org.pl

pokojach! Jak ona szeleści ta suknia! Jaka piękna! Jaka piękna!

I zaczęła znów swój pochód tryumfalny... Marzyła, że tysiące oczu patrzy na nią z głębi zwierciadeł. Głęboka, rozkoszna radość promieniowała z jej twarzy, piękniejszej stokroć, niż kiedykolwiek.

Nagle obok siebie w zwierciadle ujrzała wysokiego, bladego mężczyznę. Patrzył zdumiony na jej ramiona nagie, na przepych jej stroju.

— Niech pan nie myśli źle o mnie — zawołała patrząc mu w oczy, pragnąc, by pojął jej duszę. — Nie zrobiłam tego ze złego serca. Nie jestem również lekkomyślna... Ale patrz pan... te okna zasnute były pajęczynami... całe lata... Ja je zdjęłam... Słońce weszło... Słońce oszołomiło mnie... Chcę dziś szczęścia... Ach, chcę upojenia... upojenia!

On patrzył na jej ramiona lekko złote... Pomyślał błyskawicznie, że nawet słońce nie śmiałoby tych ramion opalić...

Pozłociłoby je tylko... namiętniej jeszcze...

Potem pomyślał o jej d u s z y... Lekki, drwiący uśmiech prześlizgnął się po jego sercu raczej, niż po wargach.

Jedną ręką objął pieszczotliwie jej kibić i patrzył w jej oczy, długo... długo... Uśmiechał się...

A w niej już zagłuchła obawa. Czuła się niezmiernie piękną, pełną kobiecej, zwycięskiej potęgi i czaru...

— Myślałem, że jadę na Śmierć — przerwał milczenie głos jego — a tu Życie wyszło naprzeciw mnie i patrzy t w e m i oczyma...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ŻĄDZA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

oda rozwiera się pod wiosłem. Lśnią gardziele pełne srebrnej piany i zamykają się z pluskiem, jakby połknęły tajemnicę jej samotności.

Czuje się pełną zwątpienia, co raz po raz zatapia białe zęby w jej sercu. Zwierciadło nie powiedziało jej nic. Długo obracała się przed niem. Mówiło jej raz: „Jesteś piękna!“ — uśmiechało się do niej brylantową powierzchnią, lśniło i mieniło, to znów ćmiło się i syczało: — „Ach, jakże jesteś brzydka!“

O, gdyby mogła mieć pewność, że jest czarującą!

Pochyla się i zagląda w głąb rzeki: rozchwiane, kołyszące się rytmicznie rysy jej twarzy znowu milczą.

Odjeżdża na wyspę, której nikt nie nawiedza.

Już naprzód cieszy się swą wrzącą, namiętną samotnością.

Samotnością czystą, bez ludzi, huku kół, szeptów, odgłosów, charczenia i spluwania. Samotnością, gdzie nikt nie zatapia osłupiałych oczu w cudzej duszy.

Uśmiecha się do siebie i cichutko unosi brzeg sukni.

Czarne majtki, oszyte czarnemi koronkami! Rozpustna żałoba rozkoszy! Tajemnica, o której nikt nie wie!

http://rcin.org.pl

Skwar. Zanim wylądowała na wyspie, już czuje pot, spływający strugami po piersiach i plecach. Jej ręce są również mokre, a na ustach ma gorzkawy smak ostrego kurzu, unoszonego z osypisk i wywietrzenic.

Zdejmuje stanik i rozwiesza go. Czuje, jak wiatr chłodzi i pieści jej piersi, ramiona, plecy.

Ku płynącym w górze obłokom podnoszą się z jej ciała małe, nikłe atomy pary. Jest jakby związana z chmurami, żeglującemi w otwartą otchłań niebios.

Słońce wspaniale przyświeca.

Ona ogląda się naokół.

Na drzewie, nawprost jej twarzy siedzi szary ptak. Obraca głowę i śledzi ją czarnemi, połyskliwemi oczyma.

Śmieje się do ptaka... Trzepocze dłońmi, aż ptak odlata...

Wtedy rzuca się nawznak i z falującą piersią śledzi polot motyli, które wyroiły się nad wyspą.

Latają bezładnie nad niebieskiemi gwiazdami podróżnika, koło szafirowo-białych lamp zabłąkanych maków, nad zielono-złotą gmatwaniną ziół... Ścigają się w skrętach, padają w trawę, wzbijają się nagle w górę, płyną bokiem, lśnią barwnemi płaszczami.

Ona obraca za niemi oczy. Leżąc, śledzi ich polot z ciemną, zazdrosną tęsknotą.

Lecz nie dość jej na tem.

Kiedy słońce rzuca ukośny wachlarz promieni, napawając powietrze szklaną przezroczystością i bla-

http://rcin.org.pl

skiem, powstaje, podpiera dłońmi głowę i szepcze rozmarzonym głosem:

— Samotna jestem — samotna!

Deszcz iskier bucha jej w piersiach, jak w winie.

Potem zasypia. Ale nim zaśnie układa się w pozycji zalotnej. Ręce zarzucone nad głową i jedno kolano wysunięte. Jakoby wiatr odsłonił je i całował.

Budzi się. Gdzież jest?

Ach, tak! Księżyc wznosi się ogromny, czerwony. Źdźbła trawy stoją, jakby oczekiwały z zapartym oddechem.

O kilka kroków od niej czerni się postać ludzka na czworakach. Ogromna kędzierzawa głowa zwisa nad murawą. W twardych oczach wiruje ciemność...

Ale widzenie to trwa chwilę i rozprasza się, jak szum wiatru w trzcinach.

Mimo to ona czuje się obrażoną. Przyszedł tak gwałtowie, natrętnie. Widział jej usta we śnie! Obrabował ją, zmiażdżył!

Dźwiga z ziemi ociężałe biodra, wstaje i odchodzi dumna, wyniosła, z ramionami lekko skupionemi ze zdziwienia.

Siada do łodzi i odpływa. Ściga ją gorące westchnienie. Jest ciągle zdziwiona i obrażona. I ten nastrój tli się w niej, jak lekki, niewzmagający się pożar.

Nad wodą unosi się wielki księżyc. Rzuca me-

http://rcin.org.pl

lancholijny cichy blask na sitowie, z niemą, głuchą ciekawością zagląda w jej gniewne zdziwienie.

Wieczór spędza z N... Jedyny to przyjaciel uległy, milczący. Ale umie czasem rzec słowo.

Siedzieli przy otwartem oknie, poza którem spał ogród i lśniły gwiazdy.

Zapadała w milczenie, a kiedy zadawał pytanie, odpowiadała z czarującym uśmiechem.

Czuła swój uśmiech na wargach. Widziała go pięknym, jak wątły kwiat polny.

Mówili o rzeczach spokojnych, a w jej duszy śpiewał gwar i szum, jakby oddalonego miasta czy morza.

Wstał. Wziął ją za rękę.

— Teraz jest pani blada. Jest pani biała i połyskliwie chłodna. A twe ogromne włosy tworzą naokoło głowy czarną, czarną aż do przesytu koronę.

Uczuła w piersiach gorącą zalotność. Czekała, że powie coś jeszcze. Przymróżyła oczy i patrzała na jego wytworne ręce. Nagle, z niespodziewanym dla samej siebie wybuchem, zawołała:

— Niech mi pan zostawi swe ręce!

Zrozumiał. Był, jak zwykle, poważny. Wziął węgiel i obwiódł na ścianie kontur jednej i drugiej dłoni z rozczapierzonemi palcami.

A gdy wyszedł i przepadł w ciemnościach nocy, zakryła twarz dłońmi.

Widziała siebie, jak do niego wraca. W nocy,

http://rcin.org.pl

w bieliźnie tylko. Pokój ma szerokie okno. Jej kroki są tak ciche, jakby chciała się zrównać w cichości ze światłem księżyca.

On się budzi. Tępe zdumienie, potem brutalny gest...

Czemuż nie może stanąć przy nim jak gwiazda, zawsze złota i piękna, zawsze wzbudzająca czyste uwielbienie!

Ach, lepiej być gwiazdą, lepiej strumieniem, niż kobietą...

Czuła się zasmuconą. Zaczęła myśleć błędnie, a potem z uczuciem cichej rozkoszy zatrzymała się na wspomnieniu jednej nocy. Była to noc spędzona przy otwartych oknach w karecie pocztowej. Noc pełna gwiazd i zapachu. Żadna inna nie była tak ogromna, tak pełna czaru i nadziei. Żadna tak nie kołysała, nie lśniła, nie śpiewała. Rozkosz oczekiwania dosięgła wówczas szczytu.

A teraz? A dziś?

Z ponurą rezygnacją rozebrała się i legła w łóżku. Położyła się jak w białym sarkofagu. I oprowadzając ręką po szyi, piersiach i biodrach, roiła o tem, że ciało jej jest gorące, gładkie, pełne rubinowej krwi...

Nim zasnęła, spojrzała z uśmiechem na ręce na białej ścianie.

Ręce paliły się czerwonym płomieniem, trzęsły się i fruwały nad nią.

Poczuła, że teraz właśnie stanie się to, czego tak pragnęła.

http://rcin.org.pl

Podniosła się i wyszła. Wyszła oknem za rękoma, które trzepotały przed nią i frunęły naprzód niby para krwawych ptaków.

Szła po ciemnościach nocy. Nie upadała, choć pod nogami zionęła przepaść. Nie miała ciężaru, nie przyciągała jej ziemia. A kiedy zniżyła oczy, ujrzała wijącą się łuskowatą drogę, połyskującą, ciepłą jak ciało, miękką, błękitno-szafirową.

Szła po tej drodze, ścielącej się wężem, wiedziona przez krwawe ręce. Wzbierała w niej rozkosz, piersi prężyły się i drżały. Ogromny śpiący świat był naokół. Głucho wrzał mrukiem żądzy.

Krok każdy zapalał w niej nowe, olśniewające światło rozkoszy. Wstyd gdzieś opadł. Siły się wzmogły. Czuła się potężną, bezwstydną, nienasyconą.

Na obłoku, połyskującym żółto, stał tron z jarzącego bronzu. Na tronie siedział on — Szatan.

Był zielonawo-szary, niby pokryty patyną. Potężne mięśnie wrastały w bronz siedzenia. Z zimnych oczu lało się światło: gdzie spojrzał, słała się nieskończona rażąca droga, a w niej, jak pyły, wirowały gwiazdy. Chmura dumy leżała na czole, usta dyszały śmiertelną żądzą.

Uczuła się w olśniewającej mroźnej światłości, wychodzącej z brzucha Szatana.

Usłyszała głos... Był on hukiem piorunu, rykiem zwierząt, skomleniem lubieżnej żądzy, przedrzeźnianiem tkliwości.

— Jam ten, który zapala rozkosz. Ja stwarzam

http://rcin.org.pl

niespożytą żądzę i daję żarzące się okruchy. Jam ojciec upojonych i obłąkanych. Ja prowadzę błędnych. Ja targam niepokojem aż do grobu. Ja zaciskam pięści nienawiści. Ja odurzam odwarem zemsty. Ja każę człowiekowi wirować dokoła niedościgłej gwiazdy. Ja spalam na kuszącym ogniu. Ja purpurowe jadowite kwiaty daję za posłanie. Ja zsyłam jątrzące wrzody. Ja marnotrawię siły. Ja zalewam goryczą. Ja gaszę zorze nadziei. Jam pan wielkiego królestwa.

Krew huczała w jej żyłach, jak wrzący potok...

— Wyrzeczesz się wstrętu... Staje on na drodze do najsroższych rozkoszy — ta najlichsza cnota cnotliwych. I litości... Ona utwierdza bezrozumne panowanie dobrych. Patrz, jaka tam ciemność i plugawe pełzanie na ziemi, gdzie panują litośni. Ona się godzi na wszelką nikczemność, tuli i liże każdy trąd. Przedłuża choroby, tworzy najwięcej anemicznych i jałowych, nienawidzi genjuszu i ognistego bólu. Litość ścina każdą wynioślejszą roślinę, a karmi się ropą wyczerpańców, i rachitycznych. Nie odgradza się od ofiary, i wbijając nóż w cudze serce, wpycha go zdradziecko we własne. I dlatego jest nieuleczalna... Litość nigdy nie przestanie zabijać...

Piana stanęła na ustach Szatana. Zerwał węża, opasującego mu biodra, stanął na czworakach i skinął, by usiadła na nim, jak na koniu.

Gdy usiadła rozkraczona, skrzydła Szatana opadły i otuliły ją lepką, chłodną błoną. Czuła między

http://rcin.org.pl

nogami ciało Szatana, w którem kłębiła się gęsta pulsująca krew.

Szatanik z miną błazna w wieńcu z czerwonych róż na rudej głowie przyniósł dziecko, gołe i śpiące. Położył je na krzyżu Szatana, przed jej brzuchem i wetknął nóż w rękę.

Rozległ się głos, jakby idący ze wszystkich miejsc mżących ciemnością i od żółtego połysku obłoku:

— Zabij litość...

Rozkosz porwała się i zlewała w jej ciało z ust Szatana, brzucha, chmurnego czoła i nieugiętych oczu.

Podniosła ramię. Namacała małe bijące serce. Uderzyła.

Klęsnął nóż i zagłębił się miękko. Krzyknęło dziecko. Błysnęło zbroczone ostrze. Z rany pociekła krew na dół rubinową, połyskującą wstęgą, koło której zafruwały nietoperze, kwiląc i chwytając pyszczkami czerwoną smugę.

Szatan leżał z nią na łożu ze złotego, gorejącego szkła, zasypanego różami. Ciało jego było jak marmur białe i promieniowało rzęsiście. Prężyła się w kurczach straszliwej rozkoszy. Potem krzyk rozdarł otchłań nocy. To ona krzyczała. Ciało Szatana skurczyło się nagle i zagasło. Runął w przepaść...

Ocknęła się ze straszliwą trwogą, od której pękały piersi. Serce jej biło, łzy stały w oczach. Usta dymiły gorączką. I ciężkie brzemię melancholji leżało zwinięte w łęk w piersiach.

Świt napełniał pokój bladem światłem. Drzewa

http://rcin.org.pl

lśniły złotym blaskiem, czystym i milczącym. Chłodna cisza była na dworze.

Nagle buchnął świergot ptasi. Spojrzała na rozczapierzone śmieszne ręce tego, który zawsze wiódł ją na ciche łąki, nadziei i lśniącemi zielonym zachwytem oczyma pozdrowiła pierzchłego Szatana.

http://rcin.org.pl

W GODZINIE ŻALU.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Zastał matkę w trumnie. Gorączkowa niepewność, czy dotknie ustami jej rąk rozpalonych czy zimnych, ustąpiła. Zmarła leżała wysoko z twarzą bladą i zastygłą. W pokoju wisiało kamienne milczenie. Żółte nieruchome płomyki świec w obec trupa zdawały się pełne gorącego życia. Ciemne zasłony w oknach chwiały się, jakby słaba ręka usiłowała je odchylić. Długo stał przy trumnie jak w odrętwieniu. Weszły siostry. Nie śmiały mu przerywać rozmyślań czy modlitwy; czekały, aż sam się do nich zbliży i powita. Janina o pięknym spokojnym profilu miała w oczach cień smutku, ale usta jej były chłodne i dumne jak zawsze. Nos Marji zaczerwienił się od płaczu, twarz, jakby nabrzmiała i była brzydsza, niż zwykle. Iza i Małgorzata objęły się ramionami i spoglądały na brata szeroko rozszerzonemi oczyma istot wrażliwych i wyczerpanych. Patrząc na zmarłą, wspominał Jerzy jej tkliwą dobroć dla niego, jej marzenia o jego przyszłości i o sławie. Jakże była wrażliwą na wszystko, jak cierpiała z powodu stanu ojca, graniczącego z obłędem! Potem, jak dotknięcie rozżarzonego węgla sparzyła go myśl o głuchych pomrukach opinii, że matka miała kochanka. Odpędził tę dręczącą marę od siebie i, patrząc na bolesne znużenie Marji i marmurowy

http://rcin.org.pl

spokój Janiny, myślał uparcie i gorzko o tem, że Janina była ulubienicą matki, a przeciwnie biedna Marja, tak prosta w obejściu, wesoła i rozumna, nie była tyle kochaną. Matka pokonać nie mogła niechęci do jej brzydoty. I oto teraz myśli Marji włóczą się z płaczem u nóg umarłej, a Janina myślami, jak zwykle, przebywa gdzieś daleko, za górami. O matko, czemu nie ukochałaś goręcej Marji!...

Lekki szmer w pobliżu przerwał te bezładne rozmyślania. Weszła francuzka Cecylja. Skinęła mu głową i to pozdrowienie w domu rodzicielskim pierwsze, jakie otrzymał, było dla niego niby znak przyjazny z dalekiego brzegu. Pękło na chwilę poczucie osamotnienia. Uczuł, że czerwieni się gwałtownie wobec trupa matki na widok tej dziewczyny, o której marzył całe miesiące zdala, w mieście uniwersyteckiem. Włosy miała upięte wysoko, złożyła ręce, jak do modlitwy, przybrała postawę osoby oddanej smutnej zadumie, ale w oczach jej, kiedy zwracały się do Jerzego, palił się gorący płomień błękitny, pełen szeptów i obietnic, a twarz w półmroku miała odcień białosrebrny jak lilja. Uczuł, że serce jego należy do tych dwóch kobiet, z których jedna leży na katafalku, a druga może nie wie o niczem. Nie wie, ile razy wzywał ją w samotnym pokoju na czwartem piętrze, dokąd nie zaglądał nikt prócz światła księżycowego. Była zbyt piękna, aby odważył się powiedzieć, że ją kocha. Zresztą, czy to była miłość, czy tylko marzenie, słodzące mu samotność? Była dla niego nie istotą z krwi i ciała, lecz widzeniem rozkosznem,

http://rcin.org.pl

nieopuszczającem progu jego samotnych godzin. Nie chciał badać, czem jest ona, czego chce, a czego nie chce. Chciał marzyć o niej, upajać się jej pięknością w tajemnicy, zasnąć i pod wysokiemi „nieznanemi“ niebiosami śnić o niej i czuć jej obecność, jak tchnienie wiatru i bicie serca.

Nagle z dalekich pokojów dobiegło granie. Grał ojciec; przebiegał klawiaturę, wyrywając z niej gwałtownie, jak drapieżca z krwawiącego boku swej ofiary, żer dla łaknącego, objętego szaleństwem ducha. W wirze dźwięków ostrych i wibrujących, załamujących się gwałtownie i spadających do szmerów basowych, pluskała toń obłędu, chwytała Jerzego za serce, jak zimna dłoń. Wzdrygnął się i zwrócił do sióstr. Janina powitała go przelotnym, chłodnym uśmiechem i natychmiast pogrążyła się znów w zamyśleniu. Marja ucałowała go łkając. Uczuł wilgoć jej łez na policzkach. Iza i Małgorzata były jak zalęknione; ich naiwne pocałunki nie mówiły mu nic o tych małych, śpiących wśród zabaw dziecięcych sercach. Dotknął dłoni Cecylji z szacunkiem i uwielbieniem, pochłaniając jej spojrzenie, jak otchłań nocy pochłania spadającą gwiazdę. W pokoju jadalnym oczyma brzemiennemi łzami patrzył na pusty fotel matki. Wszyscy milczeli, a po obiedzie, po kilku słowach, jakby im było ciężko razem, rozeszli się do swoich pokojów.

Jerzy poszedł do ojca; znalazł go w bibliotece, zajętego gotowaniem kawy. Przywitał syna okrzykiem: „Ach, to ty mój chłopcze“, poczem zaraz zaczął mówić o dobroczynnem działaniu czarnej

http://rcin.org.pl

kawy. — „Czuję wir w głowie i cały świat wypełnia się przedziwną melodją, gdy wypiję kilka filiżanek. Czy wiesz, mój chłopcze, że natura nie znosi milczenia? Milczenie zburzyłoby świat w mgnieniu oka. Wszystko dźwięczy: obłoki, gwiazdy, słońce, obicie, nawet wata, zamknięta w pudełku, dźwięczy, gra, śpiewa. Księżyc pełen jest łkań, szeptów i królewskiej rozpaczy. Woda i ogień zmagają się wiecznie w olbrzymiej walce nieprzejednanych melodji. Ludzie głusi są na to, ale ja słyszę i wiem. Od czasu, jak odsłoniło się przede mną morze dźwięków, pędzę życie surowe i piękne. Nieraz w nocy zrywam się i tylko z największym wysiłkiem mogę opanować lejące się zewsząd fale, które otaczają mnie jak szatani opętanego. Ach, gdy to wszystko ujmę i przetopię w kruszec muzyczny — zostanę największym artystą świata. Nie chcę tego tryumfu, ale to przyjść musi. Nigdy jeszcze natchnienie nie było tak szczodre!... Tak... tak... oto znowu się zaczyna...“

Umilkł i nasłuchiwał. Drżał z radości, dawał znaki ręką, jakby wzywając, aby się uciszono, stopą wybijał takt. Kilka razy syknął niecierpliwie i rzucił na syna niechętnem, zdziwionem okiem. Jerzy wyszedł. Z ciężkiem sercem, nie wiedząc, co robić z sobą, począł oglądać dom rodzicielski. W salonie obejrzał portrety, jakby widząc je po raz pierwszy; przyglądał się kryształom zawieszonym u lamp z uporczywą ciekawością niedorzecznego, napółświadomego oczekiwania. Przechodząc korytarzem koło kuchni spojrzał ze zdziwieniem na młodą, kwitnącą dziew-

http://rcin.org.pl

czynę, z jędrnemi ramionami, obnażonemi przy robocie. Była to pokojówka Karolina; znał ją od dzieciństwa, ale zrazu nie poznał dawnego nieśmiałego dziecka w dorosłej dziewczynie o czerwonych, żywych ustach. Wydało mu się, że te usta krzyknęły radośnie: Jestem! Jestem!! Uśmiechnął się do niej mimowolnie, a ona odpowiedziała mu natychmiast czujnym, głęboko odgadującym tajne drgnienia mężczyzny półuśmiechem młodej, niecierpliwej kobiety.

Obejrzawszy dom cały wewnątrz, siadł na schodach, prowadzących do ogrodu. Były to wysokie, kamienne schody, zarosłe w kątach zielskiem. Tu spędził niejedną chwilę. Niegdyś, we wczesnem dzieciństwie, ojciec dał mu błyszczący pieniądz srebrny, a on go dotąd taczał po tych kamieniach, aż pieniądz wpadł w głęboką szczelinę i zniknął nazawsze. U stóp schodów pod piękną, pachnącą lipą siadywała matka w fotelu na biegunach i bujała się, odbijając od ziemi małą stopą. Jakże piękną była w łagodnym półmroku wieczorów księżycowych! Czuł jeszcze dotknięcie jej białych palców na włosach. I raz, gdy srebro księżycowe przelewało się i drżało w gęstwinie lipy, wyznała przed nim z ciężkiem westchnieniem, że nie może się przemóc i kochać Marji tak, jakby chciała, że niesprawiedliwą jest względem córki... Ale on nie zwrócił na to większej uwagi. I oto teraz Marja we łzach... pełna boleści!...

Wyrzut sumienia ugryzł go w serce i usadowił się w niem, jak głuchy, tępy ból. Zdawało mu się,

http://rcin.org.pl

że było rzeczą tak łatwą otworzyć matce oczy, porwać ją i przekonać... Byłby to czyn godny mężczyzny, brata, ale on zaniechał go... a teraz już zapóźno, zapóźno!...

Żal rozlał się w nim jak płyn gryzący i znów błysła mu myśl, że matka miała kochanka. Gubił się w przypuszczeniach, kto nim być mógł. Ach, gdyby tak zdobyć pewność, choćby złą pewność, byłoby to lepsze, niż owo dręczące chwianie się na krawędzi tajemnicy, którą matka uniosła z sobą do grobu! I gdy przypuszczenia te udręczyły go nieznośnie, to odbiegły nagle od niego i otoczyły go myśli o Cecylii. Tu, na tych schodach ujrzał ją po raz pierwszy, i zdumienie go ogarnęło na widok piękności i wdzięku młodej nauczycielki. Tu, gdy raz wrócił późnym wieczorem z przechadzki, zastał ją... Siedziała nieruchoma, w blasku księżyca. Przeszedł z zapartym oddechem, w milczeniu, zaledwie uniósłszy zdrętwiałą dłonią kapelusza. Czekała na niego? Na tę myśl w głowie mu wirowało. Odpędził zuchwałe przypuszczenie, jak świętokradztwo. A jednak, gdy na drugi dzień była równie miła i uprzejma, pomyślał, że przebaczyła mu jego nieśmiałość i lżej odetchnął. Jakże jest wdzięczna ona, dobra i wesoła. Zdawało mu się, że nie odmówiłaby nigdy jego prośbie, ale o cóż ma prosić? Czy o jej serce? Wszak ona jest jego, choć może nie wie o tem. Czy o pocałunek? Cofał się przed tem, jak przed ciężkiemi drzwiami zamkniętego nazawsze pałacu. Może wtedy, gdy spotkał ją na schodach, los rzucał mu wezwanie, aby się przełamał, aby raz wre-

http://rcin.org.pl

szcie dokonał czynu. Ale nie — płomienna dłoń wychyliła się z otchłani i odpędziła go precz, w dziedzinę rozmarzenia! Tak było zawsze — uciekał od ludzi, od kobiet. Gdziekolwiek stąpił, tworzył się szeroki krąg samotności i milczenia. Koledzy byli dla niego zbyt szorstcy, dziewczęta raziły go... Pędził życie wstrzemięźliwe i posępne, pełne nerwowych obaw i przeczuć. Był samotny — jedyne serce, które posiadał bez trwogi, że je utraci, i bez wysiłku, serce oddane mu z woli niebios, bić przestało...

Łagodne dźwięki muzyki znów napełniły dom i wybiegły na schody. Były ciche, słoneczne jak blask światła na białej, połyskującej pustyni. Błękitna fala uniosła Jerzego... „Dzięki ci, dzięki mój ojcze!“ — szeptał, a potem zwolna zatonął w błogiej otchłani wizji muzycznych. Był w dalekiej krainie bez cierpienia, wysiłku, pożądania i myśli. Fale muzyki unosiły się nad nim jak duchy w ogromnych, rozwiewnych kształtach. I jedna prosta, niesłychanie smutna melodja czarowała go i pieściła. Wracała jak fala morska na brzeg i brała jego duszę; witał ją z coraz nową, z cudownie odradzającą się, świętą rozkoszą. Oglądał ją radośnie i pochłaniała go, a potem czekał, aż weźmie go znowu i raz jeszcze. Biała słodycz bez nadziei i oczekiwania ukołysała go jak sen, znużonego długą udręką.

Ocknął się nagle, gdy muzyka umilkła. Zapadał zmierzch. Dom był cichy, jak wymarły. Znów porywała go brutalnie rzeczywistość. Był zmęczony,

http://rcin.org.pl

złamany; zdawało mu się, że ogarek nadziei, płonący dotąd, zagasł. Uczuł wstręt do życia, bezmyślnej, ciężkiej pracy ludzkiej, ponurych zmierzchów z rdzawą smugą na zachodzie, jak po przelanej krwi. Jakże jest młodym jeszcze i ileż dni takich stoi przed nim, długi ponury gościniec, skwarny i pusty! Spojrzał w górę. Niebiosa wisiały straszliwie dalekie i obce. Miał ochotę upaść na ziemię i płakać. Przemógł się jednak i wszedł znowu do pokoju, gdzie stała trumna. Ciężki majestat śmierci powiał nań kojąco. Twarz matki wydała mu się surowszą i jeszcze dalszą od życia, niż poprzednio. Stara, najęta kobieta szeptała pacierze zwiędłemi ustami. Ach, w domu tym nikt go już nie kocha prócz... Zawahał się... Czyżby go kochała?... Jej spojrzenia pełne gorącej zadumy — to raczej obojętność: ona w jego obecności o miłości marzy, ale nie o nim. Nie, niema już nikogo... Jedyna istota, której obojętnym nie był, umarła.

Jak zmartwychpowstała stanęła przed nim matka i rozległ się jej miły głos. Zadrżał jak w febrze: ach, nigdy to już nie nastąpi, nigdy! Gdyby choć na chwilę ożyła, gdyby choć raz jeszcze ujrzeć światło w jej oczach zamkniętych! Przylgnął oczyma do lica zmarłej. Usłyszał kroki poza sobą i objęty uczuciem gorączkowej nieufności uciekł z pokoju. Byle dalej od ludzi, od ich bezradnej niemocy. Przebiegł ogród i furtką wyszedł w pole. Ciemny poblizki las pociągał go siłą magnetyczną. Pomyślał o stoku leśnym, spadającym ku rzece, gdzie nieraz przesiadywał, słuchając dziwnych odgłosów nocy i wo-

http://rcin.org.pl

dnego ptactwa. Szedł jak odurzony zapachem wilgotnej trawy i ciszą wieczoru. Na wązkiej drodze spotkał dużą, czarną ropuchę. Była jak stężały strzęp ciemności, siadła na środku drogi i zatopiła się w rozmyślaniu. Ominął ją troskliwie, z zabobonną obawą i głuchem poczuciem pokrewieństwa. Iść zaczął po stoku wzgórza, zmierzając do dawnego, znanego miejsca pod starym dębem. Księżyc posunął się wyżej i nabierał srebrnego blasku. Stał na niebie, jakby namyślając się, dokąd ma iść. Zdala na wodzie pobłyskiwało jego rozpierzchłe światło i szło wilgotne, ożywcze tchnienie stamtąd. Zdawało mu się, że widzi, jak rozszerza się widnokrąg i srebrna cisza potężnieje. A las był zamknięty w sobie, pełen szarej zadumy. Jedno nieruchome, wysunięte naprzód skrzydło leśne ciemną, żywą ścianą zastąpiło mu drogę. Zatlił się w nim lęk w obec tajemnicy, którą tworzy bór i noc księżycowa. Las spał głęboko, jak ptak ze schowaną w pierzu głową, a księżyc snuł nad nim pieśń łagodnej tęsknoty. — Śpi a słucha — mignęło mu przez myśl jak błyskawica. Zbliżał się już do miejsca, gdzie droga zapadała w głąb leśną, gdy nagle nogi zadrżały pod nim, a dreszcz radości i wstydu warem oblał mu czoło i twarz. Na mchu, zwrócona do niego twarzą, siedziała Cecylia.

Twarz jej w blaskach księżyca była biała, jak twarz widma. Jak posąg, wykuty z marmuru, czekała... na niego. Poznał to odrazu jak myśl, wyciosaną w bryle przez twórcę w chwili potężnego uniesienia. Serce w nim zamarło, a usta wyschły.

http://rcin.org.pl

Udręczenie pierzchło, jak ptak spłoszony. Zbliżał się do niej ze złożonemi rękami i cicho, bez słowa powitania ukląkł i złożył głowę na jej kolanach. Słyszał znowu tę przedziwnie-cudną melodję, jak wtedy, gdy grał ojciec. Fala upojenia porwała go i uniosła w świat bez wahania i wstydu. Jakby budząc się z czarownego snu, znajdował pod swemi wargami jej usta, słyszał pieszczotliwe słowa... Nazywała go miłym i jedynym. Z rozkosznem zdziwieniem ujrzał, że dłonie jego pieszczą jej pierś, czuł pod palcami radosny rytm jej krwi. Wymarzone ramiona zamknęły się na jego szyi, objęły go i zabrały dla siebie. A gdy miał ją posiąść, pomyślał o trupie matki, o jej nieruchomem, stężałem ciele pośród świec gorejących, i myśl o śmierci nadała wybuchowi rozkoszy straszliwą purpurową potęgę, jakby przez płomienną bramę schodził w głąb nowego życia.

Uznał, że czyn jego był zbrodnią, ale po chwili rozmyślania przejrzał, że nie był to czyn. To było sromotne oszołomienie, graniczące z obłędem. Myśl, że nie jest zdolny do czynu i panowania nad sobą, że w życiu może być tylko igraszką i narzędziem tych, co w głowach mają legowisko zamiarów zimnych, stanowczych, przejęła go ołowianym dreszczem. Jakże się wszystko dziwnie splotło! Oto stało się nikczemnością i klęską to, co mogłoby być dumą i zwycięstwem, radością słoneczną! Pojmował teraz, jak strasznie zawinił względem samego siebie — on, co pozwolił swej woli zapaść w gnuś-

http://rcin.org.pl

ność, w letarg i żył jak odrętwiały żebrak-kaleka w ruinach. Przejrzał teraz, obudził się po objęciach miłosnych wobec matki w trumnie. Ach, trzeba zbudzić ospałą duszę, płomień czystej woli w niej rozniecić! Nigdy już nie zbliży się do *niej*: będzie to kara i próba sił, a radość z wytrwania, cierpkie zwycięstwo nad żądzą stanie się krynicą odrodzenia. Wytrwa, musi wytrwać! Zacinał zęby i pięści zaciskał. Czuł w sobie siłę zimną i stanowczą, błyszczącą w nim, jak klinga noża. Napełniało go to radością. Usiadł przy biurku i zapisał w notesie pod datą dnia: „Vita Nuova". — „Tak będzie dobrze... Nikt nie zrozumie; tajemnica pozostanie nieodsłonięta".

Na drugi dzień po raz pierwszy był stanowczy wobec Cecylii i bez zakłopotania. Mówił, patrząc jej w oczy otwarcie; była upojona cichą radością; zdawało mu się, że jej żywe usta i broda promienieją. Dzień cały spędził w gorączkowej czynności, gotując się do pogrzebu matki. Odpędzał od uszu muzykę ojca, jak brzęczenie komara. Zasmucony był, że się to stało, ale znajdował ukojenie w myśli, że inny człowiek powstanie z tego upadku i rozbicia. Jakże nisko się stoczył i obudził na krawędzi przepaści. Spotkał Cecylię samą; rzuciła mu słodkie wyrazy: „Miły mój, jedyny"... Ale przeleciały mu one mimo ucha, jak zwiędłe liście. Nie odwrócił głowy, nie czuł ani wstydu, ani zakłopotania, że jest tak niewzruszony. „Tak być powinno!" — mówiło w nim postanowienie. Uczuł nareszcie spokój, stopami dotknął twardej pewności,

http://rcin.org.pl

jak ziemi obiecanej, do której płynął w ciężkich wirach i mrokach, bez gwiazdy przewodniej. I tylko jak ciemny obłok wisiał mu w duszy gorzki żal, że się to stało. Był nieco znużony, lecz dziwnem, dobroczynnem znużeniem, które ożywiało wolę i dawało myślom jasne kontury. Ale już nad wieczorem poczuł nagle z przestrachem, że podniecenie gaśnie. Tracił grunt pod nogami i zawisał znowu we mgle nad otchłanią... Uczuł się słabym jak dziecko i schował, usłyszawszy kroki Cecylji, bo pragnął jej każdą kroplą krwi.

Postanowił uwięzić się we własnym pokoju do jutra i tam, zdala od niej, przeczekać burzę zmysłów. Idąc do siebie, ujrzał znów Karolinę. Jasne jej włosy w świetle zachodzącego słońca połyskiwały jak złoto. Obróciła ku niemu niecierpliwe czerwone usta, oczekując, że przemówi do niej. A on uśmiechnął się blado, szeroko, znienacka dla samego siebie i fala krwi oblała mu skronie, gdy ona odpowiedziała uśmiechem bezwstydnym, jak mu się wydało, mrużąc pełne blasku oczy z okrutną, niedbałą domyślnością. Ach, zachowanie się jej było tak niedwuznaczne, tak jaskrawe, jak gdyby wypadła na jego spotkanie z obnażonem łonem! Chciał przemówić, ale język mu się zaplątał. Odszedł z posmakiem cierpkiej rozkoszy i zawstydzenia. „Ależ tak — przemówiło w nim — ona jest taka, każdy mięsień jej krzyczy o rozkosz“... Przygarbiony i bezradny, czując na plecach jej spojrzenie, odszedł do swego pokoju. Usiłował czytać, ale napróżno. Starał się sobie przypomnieć, czy kiedy-

http://rcin.org.pl

kolwiek słyszał o tem, by syn w obec zmarłej matki oddawał się obcowaniu z kochanką. I czy można inaczej nazwać ten postępek jak podłością? Im bardziej zastanawiał się nad swojem zapomnieniem, tem mniej wiedział, czem ono jest w istocie. Ach, gdyby tak można zrzucić nareszcie całe to brzemię odpowiedzialności! Upadł na łóżko i zasnął głęboko, a gdy się obudził wraz z ciemną nocą patrzyła mu w duszę pewność! Ależ tak, tak! To miłość, gorąca upojna miłość rzuciła go w objęcia tej cudnej dziewczyny. Wstydził się miłości, jak złego czynu, ale ona rosła w nim i potężniała! To samo było w Cecylii. Oboje w milczeniu i rozłące przeżyli pierwsze swe schadzki, wyznania, przysięgi i pocałunki, aż nareszcie z prostotą, której czysta atmosfera otacza zawsze miłość, oddali się sobie... Aże się to stało w ciężkiej godzinie śmierci — cóż w tem dziwnego? Czyż śmierć pyta miłości o pozwolenie, kiedy ma przyjść? Ach, tem gorętszą stanie się miłość nasza, Cecyljo, że śmierć otoczyła ją płomiennemi kwiatami zgrozy! I oto nowe popełnił szaleństwo, gorsze od dawnego, gdy nie śmiał dać się unieść falom miłości: odepchnął Cecylję, może zranił ją boleśnie. Najlepiej będzie iść zaraz do niej, szukać jej...

Nie poszedł jednak, zasnął znowu, a raczej zawiesił się w półśnie i po dręczących majaczeniach obudził się w gorzkiem zwątpieniu. Nie spał już potem długo i zmarła poczęła go nawiedzać. Stawała za oknem, jak mdłe światło księżyca, jej oczy jako dwa punkty jasne połyskiwały na suficie; sia-

http://rcin.org.pl

dała przy nim jako cień — a gdy się zrywał, wchodziła cicho w ścianę i znikała. Potem widział ją w zwykłej postaci. Mówiła, pochylając się nad nim: „Więc tak mnie kochasz... Przekonałam się... Nic więc, nic dla matki, a ja, mój synu, tyle zrobiłam dla ciebie. Te ręce kołysały cię, gdyś był mały...“ Łkając, wznosiła ku niemu dwie białe dłonie, a on, choć zasłaniał twarz rękami, widział jej lice, postawę, ruchy, ubranie jaskrawiej, niż zwykle się widzi, w bladem, rażącem świetle, a gdy się wzdrygał i otrząsał ze zdziwionym okrzykiem zgrozy w gardle, znikało widzenie; był sam, cicha noc gwiaździsta patrzyła w okno; powoli wracał mu spokój i sen kleił powieki.

Nagle zbudził go szmer w korytarzu. Ktoś w ciemności szukał klamki. Matka! — błysnęło mu w głowie. Czekał zdrętwiały, aż szeroko otworzą się drzwi, i wejdzie zmarła z zamkniętemi oczyma, ze stężałem ciałem, stąpając ciężko i wolno! Chłód powieje jak z piwnicy! Chwycił się za szyję, aby wyciągnięte ręce nie udusiły go... Ktoś drzwi otwierał... Ale nie, to nie zmarła! Uczuł przez ciemność ostrożne wahanie i jakby żar krwi! Czekał z natężonemi oczyma. Ktoś stąpał do jego łóżka, uczuł ciepłe ramię kobiece. Oblał go war szalonej rozkoszy i płomiennej miłości. Jakże bezbrzeżnie kocha tę cudną dziewczynę, jedyną na całym świecie! Ale nie, te ramiona zbyt pełne, to nie Cecylja! Porwał oburącz bielejącą postać i pod ustami znalazł młode, pałające piersi Karoliny. Czerwona łuna krwi błysnęła mu w oczach, szczękając zębami brutalnie

http://rcin.org.pl

zagarnął nową kochankę. I znów straszliwa myśl o zmarłej, była upajającą przyprawą rozkoszy miłosnej.

Począł się śmiać głośno, myśląc o postanowieniach swych i o tem, co napisał. Tak, „Vita Nuova“, ale w całkiem innym kształcie, niż przypuszczał. Karolina przelękła się tego śmiechu i prosiła, aby zapalił świecę. Uspokajał ją, lecz uporczywie nalegała. Chciała zresztą, aby ją widział. A gdy zajaśniało światło, gradem pocałunków osypał jej usta, szyję, piersi, ramiona. Oszołomiona jego pieszczotami, zwycięstwem i swą nagością wyskoczyła z łóżka, śmiała się, wznosiła ręce do góry, kręciła szybko, błyskając kolanami, a potem, oplatając jego szyję ramionami, mówiła: „Widzisz! Nie wiedziałeś, że Karolina jest taka piękna! Patrz teraz, patrz!“ Wpatrywał się gorejącemi oczyma w jej czerwone usta i białe zęby i nagle, trzymając ją w objęciach, zapytał, kto był jej pierwszym kochankiem. Odparła, że nie powie, ale jest to osoba znana Jerzemu. Wtedy pomyślał znienacka o swym ojcu i kazał jej iść precz. Ale ona ze śmiechem zamknęła mu usta pocałunkami i oddała mu znowu swe młode, kwitnące ciało ze stanowczością kobiety, która wie, że nie może być odrzuconą.

Odeszła. Czuł się beznadziejnie rozbitym. Posąg, który wznosił dzień cały, leżał w gruzach. Wysoko.

http://rcin.org.pl

nad nim rozwierało się niebo jego samotności, milczące jak pustynia, i na niebie tem wschodziła znów gwiazda tej jedynej, której miłość zdradził i której teraz chciał oddać się nazawsze i bez powrotu. Nie uciekać przed miłością, ale utonąć w niej całkowicie, zatracić swoje „ja“ nieszczęsne, zlać się z nią, być jej cieniem, szmerem jej słów! Ach, wszystko, byle nie patrzeć w nicość własną, byle nie znosić samotnie porażek! Inni ludzie słyszą w sobie głosy stanowcze, wzywające w tę lub ową stronę, w nim jest tylko milczenie lub kłamliwe, złe echa chichoczą swe szyderstwa! Ach, pójdzie za nią wszędzie, choćby wampirem była, a słodycz jej maską, choćby w okowach wlec się będzie i krwawić za jej stopami...

I myśl, że miłość ta będzie zagładą, uśmiechała się do niego jako jedyne samobójstwo, które miał odwagę na pomoc sobie przywołać.

http://rcin.org.pl

ŚLEPA KRÓLEWNA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

jaki smutek, jakie zamyślenie nieukojne rozlewa twarz ślepej królewny! Chce być nad morzem! Jej chęci są tak nagłe! Czy huk piorunu je budzi? W cieniach nocy rozlega się gong, nieubłagany spiżowy klekot, i porywają się z łóżek dworki królewny, Ach, wydzierać tak młode białe niewiasty z objęć snów gorących, z dolin marzeń rzewnych i dalekich! Ach, tak rozkazywać okrutnie, by się rozplatały ciała, szalonemi dłońmi rwać wrzący chorał miłości!

Błyskają ognie. Skwapliwie unoszą się i błądzą po długich korytarzach. Odrętwiałe okna budzą się i buchają pożogą jaskrów w mrok nocy. I wieża zakwitła czerwonemi kwiatami płomieni aż po szczyt, który żarzy się jak rubinowy puhar, w który upadła gwiazda.

Lecz oto już królewna wychodzi z komnat, a z nią niewiast liczny poczet. Błądzą im jeszcze pod powiekami mdlejące miraże snów. Ich usta kwitnące ledwieże uśmiechają się do kryształowych zwierciadeł. Szeleszczą ciężkie suknie purpurowe, falują ogony powłóczyste, lśnią klejnoty, fruwają miękko pióra błękitne i żółte. Ach, jak zapadają w cień i zapalają się znowu oczy i lilje tych twarzy uległych i aksamitna wytworność rąk! Maleńkie

http://rcin.org.pl

stopy w trzewiczkach szkarłatnych rytmicznie uderzają w chłodne mozajkowe posadzki. Wysoko nad głowami dzioby złotych kagańców rozlewają różowe lśnienie, a żółte czuby przez pacholęta niesionych pochodni tryskają płochliwem światłem w smętne zmierzchnie nocy.

Królewna stąpa na czele. Jak ciche jej kroki, jak blada twarz! Oczy zamknięte. Ręce podniesione nieco, jakoby muskała niemi aksamitny mrok nocy. Dwaj paziowie w żółtych płaszczykach bufiastych unoszą ciężki złocisty tren jej sukni, co, zda się, przykuwa ją do ziemi.

Przez tarasy marmurowe schodzą, przez długie senne aleje topolowe, płosząc uroczyste milczenie nocy. Głuchemi twarzami patrzą w mrok królów posągi. Twarz królewny płonie sięgającem gwiazd uniesieniem! Szczelniej otulają się futrem śnieżne łona niewiast. Noc jest chłodna.

Jedne jakoby drzemią, znużone drogą i nocą. Na mgnienie pęka ich żarliwa ochota do życia i jak meteor błyska rozkosz zagubienia się w śmierci. Wzdrygają się i przywołują na pamięć spazmy miłości. Czerwona krew zalewa ich mózg i zaczynają żyć lśniąco na nowo. Inne patrzą odrętwiałym wzrokiem, a dusze ich snują obrazy bezkształtne i mgławe, co jak ogromne czarne ptaki zrywają się i pierzchają w mgły białe. A inne jeszcze idą ku morzu jakoby uwiedzione nadzieją, że tam u szumnych wybrzeży zatoną w wielkiem, zielonem jak ruń upojeniu!

Westchnęło już morze słonym ziewem. Poły-

http://rcin.org.pl

skuje szafirem, spiętrza się i rozlewa ze szklanym, szmernym druzgotem. Białe grzywy pian pląsają i pędzą z toni, po których rozlał się brzask pochodni, w mroczną otchłań morza i nocy. Do krańców mkną dalekich, gdzie gwiazdy cicho schodzą w chłód odmętów.

O, jak to wszystko niepotrzebne! Te długie nocne rozmowy morza i ślepej dziewczyny... Stoi nieporuszona, jakby stężała w marzeniach. Twarz jej promienieje, wargi błądzą, jakby ścigała niemi zgiełk fal ginących. Muska dłońmi oczy. Czy zdjąć pragnie z nich bielma? Modli się, czy płacze? Cieszy się czy narzeka? Ach, czasem zerwie się i zapłonie na wargach jej klejnot uśmiechu, czasem załopoczą ciemne skrzydła bólu! O, jak ją szarpie i dręczy ręka niewidzialna! O, jakże się do niej tuli twarz wynurzona z otchłani!

A morze szemrze krociami szeptów, biegnących z za widnokręgów... szepcze, zaklina, łka, grozi...

O, morze, morze, po tobie żeglować!... Daleko, daleko! Aż tam do świateł krainy!... Aż po kres znużonej tęsknoty!

O, jakie to wszystko niepotrzebne! Ta dziewczyna nigdy nie odczuwa nikogo! Sama zawsze ze swą ślepotą i nocą. Paziowie usiedli na jej trenie i grają w bezika przy pochodniach. Niewiasty nie wiedzą już, poco tu przyszły. Wzruszają nieznacznie ramionami. Zaczyna się zwolna rozmowa, jak na raucie. Wyjmują zwierciadełka. Przy połysku gwiazd i morza trefią sobie włosy.

Co za szczęście, doprawdy: ukazał się jeden

http://rcin.org.pl

z dworzan. Ach, jakie piękne ma spodnie: jedna nogawica zmysłowo-czerwona, a druga zazdrośnie żółta! O, jakże połyskują mu uda! Wszystkie niewiasty zwracają się w jego stronę i patrzą żarliwie, jakby szukały w nim zalet ukrytych. Wstał z łoża i przyciągnął tutaj ich śladem... Więc zakochany? Zaczynają się domysły i flirt w najlepsze. O, jakże on nieoceniony! Gdzie stąpi, bije źródło srebrnego śmiechu. Ach, trochę gorąco... Odchylić można zazdrosny rąbek i pokazać perłowy brzeg piersi. Ale jest tylko jeden. Czy nie zamało na tyle łon falujących?... O, gdyby przyszło więcej takich! Trzeba przyznać, że jest grzeczny i stara się zabawić wszystkie. Ale niektóre są tak czarowne, że przykuwają go na długo, a inne tymczasem się nudzą. I te zwracają się z niecierpliwem milczeniem do ślepej, wyniosłej dziewczyny. Usta ich drgają głucho... Wciąż gada z morzem? Kiedyż raczy skończyć swe pacierze?

Królewna wnosi ku morzu ręce. Zda się oddaje mu serce, powierza tajemnicę ogromną, wykołysaną w bezmiarze ciemnych nocy. Cała jest złotem uniesieniem, płonie jak krzew, osypany czerwonem kwieciem. Potem niby wiatr marszczący wodę i burzący jasną zadumę głębin, niby szary obłok, wynurzający się z za widnokręgu, miesza ją coś, trwoży i łamie. Znękane oczy padają w skarżące się mroki, czerwone serce leci jak płomyk po falach. Oto wionie niby gorzki głuchy jęk po ziemi, tonie w nurtach, rozsypuje się po skupionych śpiących drzewach... Rozwiera się i łka otchłań odwieczna...

http://rcin.org.pl

I nagle nabiega na rzeszę niepokój, głucha rozterka, jak noc ciemna i straszna. Coś pyta w głębi dusz, coś budzić je chce, coś chce je porwać, pochłonąć, coś zionie straszliwie. O nie, to nie dla nich!... Poglądają po sobie i chcą wracać. Wracać jak najprędzej, bo niespokojną błyskawicą drgają ciemności. Czy nad nimi w głębi śpiących niebios nie płynie korowód mściwych duchów?... Spokoju, spokoju i senności... Upokorzeni są i trwożni...

Oto wracają nareszcie milczącym hurmem, jak oniemiałe pszczoły, ciągnące do ula. Kiedy świt blado przeziera, rzucają się na łoża i otulają białe, zdrętwiałe nogi nadobną purpurą. Ach, jak je sen wabi! Padają w jego objęcia jak w otchłań złocistą! Oddają mu z uśmiechem nadziei nagość perłową i ciepłą. Z oczyma zmrużonemi omdlałą rozkoszą zawieszają się przelotnie, nim zasną, na myśli, czy lepszy sen czy jawa? Ach, może we śnie poznamy djamentowy szczyt szczęścia, wabiący nas wiekuiście z oddali! A może zgłosi się do nas śmierć sama z rękoma pełnemi róż czarnych. I oszołomi nas zgon nową, niewymarzoną rozkoszą!

I oto już spią słodko, jakby oparły głowy o drzewa raju, jakby ich rozplecione warkocze zmieszały się z miękkiemi źdźbłami trawy, a na rozwarte nad niemi niebiosa wybiegło siedem tęcz najcudniejszych! — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Ach, jak dręczy wszystkich niewidoma królewna! Nawet króla-ojca rozgniewała: chce pustyni!

I poco wlec się ze sforą niewiast, panów i kar-

http://rcin.org.pl

łów przez dni czterdzieści, przez dzierżawy sąsiednich królów? Poco ukazywać obcym poddanym bielma młodych królewskich oczu?

Karzeł poradził:

Nic łatwiejszego, jak urządzić pustynię u siebie w domu. Można ją mieć pod ręką na każde zawołanie i sięgać po nią, jak po butelkę z lekarstwem.

Oto stękają już wozy. Jak drwią robotnicy! Nawet znużone konie, wiecznie kwaśne, z ponuro zwieszonemi głowami, w których drzemią oczy jakoby zapuszczone dymem, mają w głębi tych źrenic melancholijnych chłodny błyskot szyderstwa!

Bo i poco to wszystko? Zasypywać krocie stajań kwadratowych piaskiem i drobnemi żwirami? Aby nie urosło nic, prócz twardych rozchodników i skalnic?

Ale królewna pragnie pustyni, marzy o niej nocami, godzinami wiszących nad nią wiecznie, głuchych ciemności.

Niewiasty i panny zbliżają się do niej z szyderczą pieszczotą. Patrzą po sobie i uśmiechają się z rozsadzającą piersi rozkoszą.

— Pustyni! Pustyni! Ha! ha! ha!

Pląsają wesoło z uwięzioną, łaskoczącą ich krtanie tajemnicą.

Ustawiono wreszcie klatki z dzikiemi zwierzętami. Kupiono w przejezdnym zwierzyńcu lwa, parę hyen i strusia. Gdyby zwierzęta nie chciały ryczeć, ustawiono napełnione lwim rykiem gramofony.

Pewnego dnia (o hosanna! hosanna!) cały orszak królewski ruszył na pustynię.

http://rcin.org.pl

Na przodzie muzykanci, pod osłoną olbrzymiej, dumnie łopoczącej chorągwi królewskiej, dęli w długie wesoło-złote trąby. Potem lektyka z radosną królewną i inne lektyki z kości słoniowej i hebanu, upstrzone herbami, ocienione pióropuszami z piór czerwonych i białych, z poza których lśniły oczy i śnieżne szyje drużek królewny. Dalej panowie strojni, migotliwi jak tęcze, konno i w powozach, z koszami kwiatów dla dam, z damskiemi mopsami i szpicami, ujadającemi na nieznane okolice. Dalej jeszcze zastępy kuchmistrzów, kucharzy i kuchcików, lekarzy, lokajów, chłopców stajennych, wróżbiarzy i masażystek, długie bryki, obładowane skrzyniami, w których drzemały pyszne stroje niewieście i dziewicze, fury najeżone zwierzyną żywą i bitą, a w odwodzie, w kałamaszce zaprzężonej parą kuców-bułanków — akuszerka dworska w tkliwem sam na sam z nadwornym poetą!

Czterdzieści razy okrążono miasto i gród zamkowy — odpoczywając, rozbijając namioty, rozkładając się na trawie i wylegując do woli, oblizując palce po tłustych kąpiach i kapłonach. Potem zrywano się i znów cała czereda, dusząc się od śmiechu, niosła ekstatyczną królewnę!

Nareszcie (ach! ach! — nareszcie!) — pustynia!

Królewna wyciąga ręce i zaczyna słuchać. Zdaleka dolata ryk lwa. Struś przebiega, chrzęszcząc po sypkim żwirku, roztrącając powietrze piersią i łapami.

Nasłuchuje królewna. Wciąga chrapkami tchnienie z ponad suchego skwarnego piasku... i krzywi

http://rcin.org.pl

się pogardliwie. Zwraca się do dworek swoich i melodyjnym głosem — o, czyż nie otwarły się wszystkie amfory wonności, gdy mówi:

— Powiedzcie mi proszę, czy to pustynia?

— Pustynia! Pustynia! — odpowiadają na wyprzody.

Tworzy się zgiełk, co razi królewnę.

Odzywa się znów głosem miłym, jak echo marzeń:

— Może jedna z was powie, czy to pustynia?

Milczenie, potem głos jednej:

— To pustynia...

Gorzkie rozczarowanie obejmuje głowę królewny. Składa ręce i błaga:

— Niech choć jedna z was powie, że to nie pustynia... choć jedna...

Milczą... Ponuro, zawzięcie milczą... Zapamiętale milczą.

Odzywa się karzeł:

— Najlepszym dowodem, że to jest autentyczna pustynia niech będzie, że na jej widok poeta nadworny zaraz pocznie improwizować.

Poeta, któremu król pod grozą obdarcia żywcem ze skóry rozkazał ułożyć poemat o pustyni, wychodzi naprzód i rozwija zwój pergaminu.

Odrzuca włosy i poczyna uroczyście.

(Królewna słucha z coraz żarliwszem uniesieniem, w szeregach zaczynają się zwolna szepty i pośmiechy).

Hymn o pustyni:

http://rcin.org.pl

Pustynia rozciąga się jak płowy gad olbrzymi. Drzemie, a nad nią szemrzą gwiazdy...

— — — — — — — — — — — —

Słońce wschodzi... Mirjady szklistych ziarn piasku drgają w blaskach jak otchłań małych, rozradowanych szeroko oczu.

Białemi wargami zaczyna mówić pustynia:

— Jestem bezpłodna... O, jak mi błogo ze słońcem i wiatrami! Obnażają mnie płomienne i łaskoczą! Przed suchem ognistem okiem słońca otulają mnie zazdrośnie kurzów obłokiem i zdmuchują ślady pałającym oddechem...

Samotna jestem w ich uściskach... Widzę, jak szaty moje kłębią się i fruwają, a przez nie słońce przeziera w szarym odmęcie. Oto wzniosły pagórki, wdarły się na nie i upadły, aby bić czołem przed nieogarnioną chłonną przestrzenią!...

Samotna jestem... Czasem struś, biały mój żeglarz, głowę we wrzący kryje piasek ze zgrozy przed rozwartą paszczą pustyni, nad którą czarny wysoki cień śmierci stoi... Rozpostrze skrzydła i znika jak obłok, wypity chciwemi ustami słońca.

Samotna jestem... Tylko żółty stróż grobów hyena nawiedza mnie i stada pierzchliwych wyjców-szakali, aby ze zwieszoną głową, ponuro ssać życie ze śmierci, i lew królewski niekiedy spojrzy w płomienie mych suchych oczu, a osty i kaktusy najeżonym płotem bronią mych granic i ostrzegają stopę zakochaną w życiu.

Samotna jestem... Suchą pieśń śmierci gra wiatr

http://rcin.org.pl

nade mną, a łona moje lśnią jałowem dziewictwem i nie wzdyma ich życie.

A gdy karawana przekrada się nad otchłanią piachów milcząco, jak cień, gdy światło kradnie, i płoną zawoje i krzywe szyje wielbłądów się chwieją — świst jeden ust mych i oto góry prochów nadbiegły i przywaliły rojne życia łożysko.

Zaśmiała się pustynia... Wiatry podniosły kłębiste zaspy i zawarły i przywaliły łańcuch karawany, co przekradała się sinym cieniem po złotych ławicach. I nie uszła karawana przed głodem lśniących oczu pustyni.

Zaśmiała się pustynia i usnęła ze szczęścia, a nad kipiącą otchłanią jej wzniósł się raj zielony. Łuk tęczy jaśniał nad chwiejną szmaragdową kopułą ogrodów, w toniach ruczajów odbiły się kwitnące drzewa, okna pałaców lśniły jak źrenice z poza liści palmowych... I sto dziewic tańczyło pod namiotami sędziwych dębów. Jak róże fruwały ich stopy. A inne spiewały lub leżąc marzyły o upojeniach ciała, o rozkoszach miłości. I piersi ich były jak grona winne, pełne i słodkie zarazem. A włosy ich były piękniejsze od klejnotów. I zwyciężone opale wstydliwie chowały się w krucze zwoje. I zapłonione ametysty lśniły w tryumfalnem złocie warkoczów. A gdy z rąk młodzieńców fruwać zaczęły róże i lilje i hijacynty i spadać na ramiona i głowy, krzyk szczęścia zerwał się ku niebu, tęcza zachwiała się i spadła i obraz cały rozwiał się jak kurz, a na jego miejscu stanęła drgająca mlecznym blaskiem pustka i cisza.

http://rcin.org.pl

Poczęła się skarzyć pustynia:

— Ach, czemu nie dźwigam piersi pełnych mleka? Czemu nie czuję w łonie przebierania łakomych korzeni? Czemu niemasz miejsca u mnie, gdzieby pragnienie złożyło głowę pałającą. Słońce nie nasypało w płaszcz mój darów... Czy wiatry je zwiały? Morze kłębi się i migota od życia. Mrowie kształtów i barw pełza w mrocznych jego czeluściach, wiesza się u jego łona, pląsa, nurza się, wiruje, ssie i kocha. Ja blask słońca odbijam krociami zwierciadeł... Czyż wiecznie gardzę i nie chcę? O, gdybym mogła wziąć w łono balsam życia! O, gdybym mogła wylać z siebie zieloną puszczę! I wrzasnąć głosów milionem! I pod radosnemi gwiazdami iść na spotkanie moich dzieci! O, gdybym mogła wyśpiewać pieśń, co kamienieje mi na wargach, na wargach moich białych jak sarkofagi śmierci...

Tak się skarżyła pustynia. I wzruszyła serce krwiożerczych zwierząt. I pałające oczy lwów cicho patrzyły w rozpacz pustyni — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Skończył poeta. Kłania się, chowa pergamin i gubi się w tłumie.

Królewna stoi chwilę bolesna i głucha. Wreszcie z posępnym szelestem osuwa się i pada na piasek.

Ach, teraz dopiero zerwały się i poleciały do niej serca, jak pisklęta do matki! Teraz dopiero pierzchło szyderstwo i zamigotała w oczach obawa. Jak się skupiły trwożnie... Czują skrzydła śmierci

http://rcin.org.pl

nad sobą... płacz się podniósł... A ciało królewny łamie się i opada. Teraz dopiero widzą, jak cudne ma włosy królewna, jak miłe nóżki w kostkach. I że ją tracą... A mogły ją mieć... O, gdyby wróciły te chwile, kiedy uśmiechała się jak dziecię, co wie o wielkiej tajemnicy i żyje samotnie na szczycie promiennej góry... W cieniu ogromnych drzew świętych... w blaskach melodji niebieskich!

A teraz umiera...

Ach, tak pragnęła pustyni! Tak marzyła o niej czarnemi, nieskończonemi nocami. Tak chciała upoić się jej oddechem, napić się wielkiej śmiertelnej ciszy i samotności. Chciała oddać swe serce wirom piasku, rozpłonionym wiatrom.

I oto wobec pustyni nie uczuła nic *wielkiego!*

Nie chce jej pustynia!

Ach, czuć się tak odrzuconą, kiedy sama wyrzekła się gwarów i pieśni morza! Kiedy w sercu jej zajaśniały zorze nowej miłości! Kiedy stała się ogniem świetnej nadziei... Kiedy upojonemi ustami nagliła, aby lektykę niesiono chyżej a chyżej...

Rozbiły się nadzieje — jedyne, wykołysane w wielkich jutrzniach ducha, w żałobnych szumach samotności!...

Umrze za chwilę...

Soli, trzeźwiących soli!...

Ale to nie pomaga... Serce ustaje... Wargi chciwie piją powietrze. Cień śmierci czai się już u czoła.

Nagle zbawcza myśl błyska w głowie jednego z dworzan.

http://rcin.org.pl

Niecierpliwie rozpycha łkające damy i nachyla się nad konającą.

— O, błagam cię — woła namiętnie — nie umieraj, królewno... Okłamano cię... To nie pustynia... Kochałem cię zawsze... Przebacz, że większej miłości dusza moja udźwignąć nie mogła...

W szaleństwie dotyka ustami jej czoła...

Roztwierają się źrenice... Promienne tonie szafirowe patrzą zdumiałe...

Królewna wzdryga się... przeciera powieki...

O nieba, ależ ona widzi! Widzi całą tę sztuczną, piasczystą nędzę! Widzi struchlałe twarze panów i dam nadwornych, barwiste stroje i pióropusze, połyskujące na słońcu klatki ze zwierzętami. I widzi w niebios błękitnej otchłami srebrzysty obłok wysoko, wysoko w dal frunie...

Ogromne szumne skrzydła wyrastają jej u ramion. Z okrzykami zachwytu biegnie po sypkim szyderczym piasku, unosi się w górę i ulata. Nie odwracając głowy, na śnieżnych skrzydłach płynie w śnioną od wieków krainę...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

TRYUMF AR-IDONA.

http://rcin.org.pl

TRYUMF AR-IDONA.

http://rcin.org.pl

Służący postawił na estradzie syfon wody sodowej i położył bukiecik fijołków.

— Kwiaty... — szepnęła na sali młoda, filuterna blondynka.

— Ar-Idon nigdy inaczej nie odczytuje swych utworów... — odparła jej towarzyszka niemal surowo. — Musi co pewien czas wąchać fiołki... To go orzeźwia...

Do sali zwolna zaczęli napływać słuchacze.

Poważna matrona z siwemi lokami koło uszu usadowiła się w pierwszym rzędzie. Obok niej — synowie, dwaj młodzieńcy o twarzach próżnych i tępych. Nieco dalej — młoda wspaniała kobieta, matowo-biała, o grubych wargach. Ledwie siadła, otoczyli ją panowie...

— ...Że też ta Narska, gdziekolwiek się zjawi, zaraz bywa oblężoną. Niczem M-me Recamier... Z tą różnicą, że M-me Recamier nie była lubieżna, a dość spojrzeć na wargi Narskiej, aby poznać, że to bachantka...

Wyszeptawszy te słowa, chuda żółta niewiastka uśmiechnęła się piwniczo do towarzysza. Ten porównał ją w myśli z Narską i westchnął.

— Dziwna istota ta Narska. Jej wszystko wolno. Drwi sobie z moralności... rzuca się z jednej roz-

http://rcin.org.pl

koszy w drugą... A jednak w gruncie rzeczy nic jej zarzucić niepodobna... Hypnotyzuje ludzi... Innejby to nie uszło na sucho, co jej... Czemu?...

Mąż znowu westchnął.

— Silna wola... — rzekł. — Zapominamy o znaczeniu silnej woli w życiu...

Westchnął po raz trzeci.

— Jak ona brzydnie ta moja żona... — myślał w duchu, patrząc na nią z pod oka. — Co dzień, co godzina brzydsza i naiwniejsza w pytaniach... Brrr! Co to będzie! Co to będzie!

Nieco krótka, ale z bardzo pięknym, pulchnym karkiem, zakrytym ażurową wstawką, rudawa aktorka Sydonia położyła na kolanach białą, delikatną chusteczkę.

Bardzo lubiła płakać na przedstawieniach, odczytach, koncertach i deklamacjach. Miała zamiar zapłakać i tym razem. Oczy jej były wypukłe, a serce bardzo dobre. Pachniała wyśmienitemi wonnościami angielskiego wyrobu.

Zapatrzony w nią młody dramaturg Cedrowski, człowiek rokujący cudowne nadzieje, ale niedoświadczony, mówił:

— Ach, jak ona cudownie pachnie... Wonnościami wiecznej kobiecości...

I nachyliwszy się szepnął do znajomego uroczyście:

— Nazywam ją w myślach królową Saby...

Lewa strona, gdzie siadali zwolennicy Ar-Idona, była już zapełniona wcale nieźle, natomiast prawa świeciła jeszcze pustką.

http://rcin.org.pl

Nagle ze znacznym hałasem wpadł młodzieniec o bladej energicznej twarzy i zajął miejsce po prawicy, spojrzawszy na salę wzrokiem lśniącym żądzą zwycięstw.

— A... więc pan jest? — spytała młoda wysoka panna z twarzą niewinnej świętej.

Zawiązała z nim rozmowę głosem nieco podniesionym, bo nie siedzieli przy sobie.

Wiele osób zwróciło się w ich stronę.

Panna zarumieniła się i wyglądała z rumieńcem jeszcze niewinniej. Młodzieniec pozostał niewzruszony.

— Przyszedłem, aby się przekonać, czy pochwały pani są słuszne. Zobaczymy...

Na estradę wszedł Ar-Idon...

Zabrzmiały oklaski. Skłonił się, siadł przy świecach...

Sala ucichła. Słuchacze przybrali miny smętnopoważne. Panny uśmiechały się cichutko, uszczęśliwione niewiadomo czemu. Wypukłooka blondynka przyszykowała chusteczkę do płaczu.

Ar-Idon się nie spieszył. Przez chwilę z nadzwyczajnem skupieniem i nabożeństwem wpatrywał się w swe białe wątłe ręce. Potem, nie patrząc na salę, z okiem utkwionem wewnątrz siebie począł deklamować:

I wyszedł Ar z namiotu, gdzie spoczywał z żoną,
(Jeszcze szałów purpurą kipiało jej łono)
I pogrążył wzrok w lasu nieobjętą ciszę
(Na wschodzie złote słońce lekko się kołysze),
Słuchał głosu, co, zda się, wychodził z za chmury
(A może go śpiewały duchów jasne chóry?)

http://rcin.org.pl

Kto jestem? I do czego idę tu na ziemi?
Błądzę, jak cień rzucony od chmury na trawę...
Czasem cisza mi serce nakrywa jasnemi
Skrzydłami, to znów chłonę krzyk i ciemną wrzawę...
A czy w ciszy, czy w huków kamiennym rozpędzie
Dusza moja tęsknoty nić żałosną przędzie.

Pierwsze dwie strofki wygłosił nieco zimno, niedbale i tajemniczo, poczem ciągnął dalej głosem, w którym drgnęło uczucie:

Nie znam nikogo z ludzi, którzy mówią ze mną,
I własnej duszy nie znam, czyli jest głęboką?
Duch kobiety jest dla mnie głuchą studnią ciemną
I żmijowiskiem zdrady jej promienne oko...
Nawet ciało jej mieni się wciąż nową zjawą:
Czasem białe jak śniegi, to znów błyśnie krwawo.
Nie wiem nigdy, czy jestem samotny, czy czeka
Kto na rozstaju drożnem na moją rozmowę,
Czy droga moja bliska, czy celu daleka,
Czy myśli mają skrzydła i tony echowe,
Co biegną w ciemność nocy i budzą z uśpienia
Hymny krwi i tajemnic blade przerażenia...

Przy ostatnich słowach (...I tajemnic blade przerażenia) Ar-Idon syknął jak wąż i pierwszy raz spojrzał na salę szerokim, jakby niesłychanie zdumionym wzrokiem. Potem zmienił głos i zaczął, jakby oddając słuchaczom najgłębszą tajemnicę, żałośnie, z gorzkim smutkiem:

Pójdę ja szukać Losu, co się naigrawa,
I zmierzę siły moje z jego siłą wrzącą,
Jak wrogowie zaciekli zetrzem się gorąco
I będzie to ostatnia borba, walka-sława!
A ten, który zostanie żyw po walki łunie,
Będzie brata powitać mógł w krwawym piorunie!

http://rcin.org.pl

Skończył tę strofę, niemal krzykiem, naśladując huk piorunu, poczem zmniejszył natężenie głosu i zaczął tonem spokojnym, ale z odcieniem sentymentalnej tajemniczości:

Tak mówił... I na górę zwraca się ponurą,
Tam widać już czekają nań żelazne wrota —

(Tu poeta uśmiechnął się skrytobójczo...)

A Olbrzym-Los twarz zakrył granatową chmurą,
Lecz kiedy ręka Ara z przekleństwem się miota,
Padły zapór żelaza... chmura się rozwiała...
Przed sobą ujrzał Losu twarz... Ziemia zadrżała...

Na sali było cicho. Kobiety siedziały podane naprzód z wilgotnemi ustami. Oczy Ar-Idona zapłonęły:

A Los wyciągnął groźną pięść, krzepką buławę
I między oczy Ara cios runął straszliwy...
Ar się zachwiał... krew warem chlusnęła na trawę...
Włosy na nim powstały na kształt wściekłej grzywy,
I złapawszy oddechu, uderzył z łoskotem
W pierś wroga... Zajęczała pierś krwawym charkotem...
Zwarli się z sobą obaj jako kochankowie,
Kiedy czerwona żądza ciało ich rozpali,
Runęli na murawę, a w blizkim parowie
Zwierzęta, przywabione ich rykiem z oddali,
Stanęły i patrzyły w milczeniu głębokiem,
Jak krew pluszcze na kwiaty szkarłatów potokiem.
Słuchały, jak się łamią żebra i jak kości
Chrupoczą pod uderzeń ołowianą mocą,
A dzień był pełen słodkiej, rzewnej słoneczności,
I na drzewach konary promiennie się złocą,
I po błękitnem niebie płynie obłok biały,
Jak jedwabny proporzec nad doliną Chwały...

http://rcin.org.pl

— Tak, tak — szeptała wielbicielka poety — tak Ar-Idonie!

Była w uniesieniu. Obejmowała go aksamitnemi oczyma. Ar-Idon wąchał fijołki:

Od rana do wieczora patrzyły zwierzęta,
Jak walczył Ar ze srogą Losu swego zjawą,
Od rana do wieczora cisza lasów święta
Wrzała rozhukiem walki i pachniała krwawą
Posoką, co jak lawa spełzła aż po parów
I tygrysy lizały krew od walki żarów
Gorącą jak płomienie...
Nareszcie charknęła
Pierś Losu raz ostatni i dyszeć przestała...
Dokonał Ar krwawego, śmiertelnego dzieła...
Twarz jego od zachwytów była jak śnieg biała
I podniósłszy ramiona, zwrócił się ku słońcu
Na chwilę przed zachodem...

Ar-Idon wzniósł ramiona i jakoby ważył w nich złocistą kulę słońca, nim ciśnie ją na salę:

Złoty Gońcu!
Zanieś o mojej chwale wiadomość w zaświaty!
Oto zwalczyłem wroga-Losu pięść stalową!...
I więziezienia głuchego wyłamałem kraty!...
I ujrzałem blask niebios nad zwycięską głową!...
I rzucam bogów tłuszczy wyzwolenia hasło!...
Słońce spojrzało okiem krwawem i... zagasło.

Był to zenit uniesienia w Ar-Idonie. Głosem opadłym wygłaszał dalej:

I szedł Ar, by wrogowi w twarz spojrzeć ostatnio,
(Już opadały z niebios szarych zmierzchów kiry)

http://rcin.org.pl

I pomyślał: „Dlaczego nie była mi bratnią
Dusza jego?..“ Załkało coś w nim jak gwar liry...
I w milczeniu, objęty zadumą głęboką,
Nad twarzą Zabitego ciche zwiesił oko...

Po tej strofie głos Ar-Idona znów się przemienił. Popłynął smętnie i wolno. Po uniesieniu smutek go opanował:

I ujrzał, że twarz Losu była to twarz Jego,
Że własnemi rękoma zamordował Siebie,
Że niesie w sobie pustkę, że go już nie strzegą
Tajemne siły, w chramów złotych śnionem niebie...
I nagle jak podcięty dąb runął i ducha
Wyzionął. Już zapadła noc ciemna i głucha.

Ostatnią strofę wyłkał uroczyście:

Złocistemi oczyma patrzyły z otchłani
Gwiazdy na twarz zastygłą Ara, gdy uśpiony
Pocałunkiem wieczystym najłaskawszej Pani
Ścichł... Lecz od tej ciszy gdzieś zaświatów dzwony
Płakały piorunowo huczącym peanem
Nad wiecznego Milczenia gorzkim Oceanem...

Zabrzmiały oklaski...

Jedni klaskali, bo podobał się im „cudny poemat“, inni, że się „to“ skończyło.

Wypukłooka piękność z westchnieniem schowała chusteczkę. Doznała zawodu: nie mogła ani razu zapłakać... Ale przebaczyła to Ar-Idonowi.

Jego wielbicielka — panna z twarzą białą i niewinną — zwróciła się rozpromieniona do surowego młodzieńca... z nadzwyczajnym pośpiechem i skwapliwością...

http://rcin.org.pl

— No, jakże... przekonał się pan? Prawda, jakie to głębokie i piękne?

— Nie, pani — odparł — to nie jest to, czego szukam... Czy odnalazła tam pani swą duszę? Proszę mi powiedzieć, co pani odczuła?

Zapłoniła się...

— Oh, jesteś pan niedyskretny — rzekła. — Chce pan odemnie takich wyznań... Nie powiedziałabym tego nawet Ar-Idonowi...

Młodzieniec powstał i oddalił się, wystukując obcasami uporczywie:

— Nie tego nam trzeba... Nie tego nam trzeba... nie tego...

— ...Ale doprawdy, co ja odczułam? — pytała siebie w skrytości...

I w czasie tych rozmyślań ujrzała ogromnego zielonego węża, potwornie długiego, z błyskającą łuską i świecącemi oczyma.

Wyprężył się i wpełzł jej do gardła, a tą drogą dostał się do „duszy". A tam wyprawiał harce i pląsy...

Błyskał ulewą szmaragdową, rozniecał tęczowe skry, mienił się, lśnił. Oczy jego to gasły, to paliły się jak karbunkuły...

— ...Jestem opętana... — szepnęła zapatrzona w połyski i rzuty węża.

— Hm — mruknął pan nieco wyszarzany, ale z czołem wyniosłem — forma wcale artystyczna...

— Ach, — pisknęła dama z dużym nosem, urażona i jakoby dotknięta w bolesne miejsce — tu nie tylko o formę chodzi... Myśl... myśl... Trzeba

http://rcin.org.pl

przyznać, że po mistrzowsku wybrnął z trudności... dotknął najgłębszych zagadnień.

— Tak... tak... Ale pesymizm...

Ar-Idon ukazał się na sali.

Gorąca zwolenniczka zastygła w uwielbieniu. Jej oczy szły za nim z promiennym krzykiem.

Wypukłooka Sydonja spojrzała na poetę z miłą wdzięcznością i nieskończoną dobrocią.

Dramaturg Cedrowski pojmał w lot jej spojrzenie i zapłonął zazdrośnie.

— Nie ma ani odrobiny talentu — myślał mściwie — ale sprytna sztuka.

Tymczasem Ar-Idon odbierał skromnie powinszowania i uściski dłoni.

Niewinna panna, witając się z nim, oblała się pąsem, poruszyła ustami i nic nie rzekła.

Matrona, która podczas deklamacji drzemała, teraz przeżegnała go krzyżem i pobłogosławiła, bo jej szepnięto, że to nowy wieszcz polski, następca Wyspiańskiego (prawdopodobnie).

Synowie jej rzekli:

— Bardzo ładne!

— Popisałeś się pan!...

Ar-Idon czuł zadowolenie i trochę wstydu. Poemat wydawał mu się nad wyraz marny. Przybierał jednak minę niewinnego myśliciela, rozmarzoną i smutną. Czuł się nieco poetą, trochę augurem...

— Mam tę wyższość nad nimi — myślał patrząc na salę z elegijną prostotą, że wiem, jak się to robi. Jeżeli jednak to tak bardzo im się podoba... Szczątki, łachmanki duszy, szkiełka, blaszki, świeci-

http://rcin.org.pl

dła, brzękadełka, obrazki... Trochę poezji, krzta blagi, szczypta reminiscencji... W każdym talencie jest sporo łotrostwa... Homo sapiens jest w istocie dość głupiem stworzeniem, choć w dzieciństwie rokuje nieraz piękne nadzieje...

Witał się... uśmiechał... pochylał głowę artystycznie...

— Hasłem naszem i godłem — myślał ktoś za niego — jest: głębokie i wytworne odczuwanie... a przytem smutek nieuleczalny... zaduma nad tragedją życia... a przytem żarliwa chęć podobania się niewiastkom... Więc zróbmy odpowiednią minę... syntetyczną...

Narska spojrzała mocno na jednego z panów, otaczających ją jak księżniczkę.

— Bardzo mnie to zajmuje, co pan mówi... Być może, że moralność cała jest przesądem... nie przeczę... Ale zostawmy to na później... Czy pan zna Ar-Idona?

— ...Kolega szkolny...

— Proszę go tu przyprowadzić...

„Dwór" cały spojrzał po sobie z lekkiem rozczarowaniem.

— Bardzo chętnie... — rzekł burzyciel moralności.

W kilka chwil potem Ar-Idon siedział obok pięknej, zmysłowej Narskiej.

Z całego poematu zachowała ona w pamięci tylko jeden wiersz:

...Czasem białe jak śniegi, to znów błyśnie krwawo...

— Czy pan jest zmysłowy? — szepnęła zbliżając ku niemu głowę gorącą, jak gdyby włosy gorzały na niej złotym płomieniem.

http://rcin.org.pl

Na ustach jej wisiał czerwony uśmiech ciekawości i głodu. Zgrabnym, nieznacznym ruchem przycisnęła biodro do jego spodni.

Uczuł kształt i ciepło jej ciała. Zajrzał jej w oczy żarłoczne jak u wilczycy, zawisł w myśli wargami na ustach pełnych krwi, zuchwałych i gorących...

— Tak... — wyrzekł z cichą rozkoszą...

Cały „dwór“ — wszyscy wielbiciele temperamentu Narskiej posmutnieli. Zrzedniały miny, choć udawano uprzejmość.

— A tośmy sobie narobili... I poco się było przyznawać do znajomości z takim Ar-Idonem... Choć ona by go i tak poznała. Skoro raz czego zechce... przepadło...

Ar-Idon i Narska rozmawiali z ożywieniem. Słuchali razem dalszych popisów. Wyróżniała go z niedbałą, czarującą stanowczością. Zamieniali spojrzenia zachwyconych sobą spiskowców. Czekała na jego słowa, gesty, uśmiechy. A z innych „dworzan“ drwiła nielitościwie. Ar-Idon podziwiał jej geniusz ironiczny i niesłychane okrucieństwo.

Oklaskano ostatnią amatorkę, która przedeklamowała sentymentalnie o biedaku, zmarłym na schodach pałacu... Powstano z miejsc.

Narska i Ar-Idon ruszyli ku wyjściu.

— Ach... panowie — rzekła zwracając się nagle do nich. — Ar-Idon odwiezie mnie do domu...

„Panowie“ przyjęli tę wiadomość z dostojnym chłodem.

Byli świadkami, jak ten „rymorób“ Ar-Idon kładł na ramiona Narskiej, wyprostowanej i zdumiewająco,

http://rcin.org.pl

wyniośle pięknej w owej chwili, rotundę podbitą białem futrem.

Potem jeden z odpalonych spojrzał w zwierciadło, w którem przeglądała się Narska.

Widocznie oczekiwał jeszcze czegoś. Może cudu?...

A ona zwróciła ku niemu ciemne aksamitne oko i roześmiała się z czarującem okrucieństwem.

Nieszczęśliwy zadrżał i ratował się ucieczką.

Unosił z sobą jej spojrzenie... Zimna drapieżna ironja... to dla niego... a poza tem... niezgłębiona otchłań obietnic, pieszczot, rozkoszy... dla Ar-Idona.

Niewinna panna, wkładając szubkę, płakała w sercu:

— Taka wielka... czysta... szlachetna... podniosła miłość!... I wszystko napróżno... napróżno!...

Ledwie powóz ruszył, Narska zarzuciła ręce na szyję Ar-Idona.

— Przyznaj pan — rzekła, że nie widziałeś jeszcze nigdy takiej jak ja warjatki. A może ja jestem twoim losem? Czy będziesz walczył ze mną od świtu do nocy?

Zaśmiała się...

Nie znalazł odpowiedzi. Upojony był... dumny... szczęśliwy... Kipiał zmysłami.

Ale nim ujechali kilka ulic już z ciemnych zaułków jego duszy, opętanej przez literaturę, wypełzać poczęły ostrożnie długie korowody strof nadmiernie ponętnych, z pozoru nigdy jeszcze przez nikogo nienapisanych, pachnących krwią i heliotropem.

http://rcin.org.pl

UWIEDZIONY.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

areta już czekała i kare konie parskały, gdy matka dawała mu ostatnie rady, poprawiając złocistą wstęgę na plecach jedynej córki:

— Spodziewam się i liczę na was, Apollo. Będziecie skromni w karecie. Nie dotykajcie jej ręką ani nogą, nie gniećcie sukni, nie muskajcie jej włosów. Trzeba, żeby była piękną na tej uczcie. Czekajcie, chwila jeszcze...

Posadziła znów córkę przed zwierciadłem i muskając jej obnażone plecy napudrowanym puszkiem, szeptała do ucha:

— Staraj się podobać Wawrzyńcowi. Ma on beczkę dukatów. Zastanów się na chwilę, ty trzpiocie: całą beczkę dukatów... beczkę złota... Ach, czy ty to zrozumiesz!...

Strzepnęła palcami trochę pudrowego kurzu z dołka między piersiami, poprawiła perły we włosach i wyprostowała się, aby spojrzeć na córkę *à vol d'oiseau*. Ale przed tem przejrzała się sama.

Podpięte piersi wyłaniały się z ciężkiej brokateli i koronek. Obnażone w szerokich rękawach ręce płonęły smagławą łuną. Oczy świeciły.

Apollo stał z boku. Zachwycał się córką i gorzko nienawidził matki w chwili, gdy ta jedną ręką popra-

http://rcin.org.pl

wiała sobie włosy, a drugą położyła cicho na szkarłatnem tle sukni.

Sabina czekała. Jej młoda twarz płonęła niecierpliwością. Szczupłe ramiona i piersi drżały od radosnego niepokoju.

— Jedźcie już, moje dzieci...

Zaszeleściły sukienki Sabiny i zafruwały jej loki. Płaszcz z szarej materyi zakrył barwność jej stroju.

Wyszli troje na ganek. Konie parskały i biły kopytami. Woźnica zebrał lejce.

Pocałunek w twarz ze strony matki, oddany Sabinie, a potem Apollo wessał się ustami w białą, miękką dłoń pani.

O, jakże bezwstydnie podała mu rękę, jakby obiecując łoże rozebrane, gdy wróci i przywiezie córkę nietkniętą.

Lekka jak puch łabędzi frunęła Sabina, nie dotykając stopnia w głąb karety, a potem on w narzuconym płaszczu.

Konie porwały pojazd. Widział jak tamta obróciła się i poszła leniwie, jakoby niosąc ciężkie wspomnienie tych nocy gwiaździstych, kiedy leżała w męskich ramionach.

Sabina zasunęła się w tył, w ciemność pudła, gdy pędzili przez ulice pełne światła. Zdawało mu się, że słyszy jej głośno bijące serce.

Potem wjechali w miękkie aleje. Łoskot kół ucichł. Nachylone gałęzie drzew biły po wierzchu karety. Ćmy krążyły koło latarni.

Naokół była olbrzymia, głucha noc. Gwiazdy świeciły wysoko.

http://rcin.org.pl

Uczuł się wzruszonym tą jazdą, ich piękną samotnością, tem młodem smukłem ciałem, zasuniętem roztropnie w głąb karety, wilgotnym zapachem ziół i kwiatów.

Zaczął mówić dla siebie i dla niej trochę, snując głośno marzenie:

— Poeta rodzi się z ognistym strumieniem w duszy. Tęsknotą jego jest posiąść i usidlić nieskończoność. Ach, ta tęsknota dziwne zadaje mu udręczenia — chychocze, dusi go, jątrzy, rozmarza. Drogę jego osypuje westchnieniami i spojrzeniami oczu, ginących poza skałą. Tak go szarpie, po ziemi włóczy, twarz mu bróździ, rzuca go z przepaści w przepaść, że poeta szuka oparcia na czemś klasycznie skończonem, jak łono kobiece, i jak ono tajemniczem i pięknem. W tej zamkniętej alabastrową skórą świątyni, pełnej czerwonego wina ognia i ofiary, w tej podwójnej baszcie milczenia i nadziei, czerpie on karm dla swych snów i truciznę dla czyhającej nań śmierci. Kobieta, otulona w ciemne zasłony, stoi w niszy pożądań i czeka, aż on zerwie z niej szaty i odsłoni. Właściwe życie kobiety zaczyna się od nagości. Wtedy żyje ona nietylko twarzą i końcami rąk, ale całą skórą. Całą skórą wabi, tryumfuje, zostaje samicą....

— Innemi słowy chcesz mnie uwieść? Chcesz, bym ci ręce owinęła na szyi? O, ja wiem, że ty chętniebyś mnie sprowadził na manowce. Pamiętam ten dzień gorący... Spojrzałam w okno, po łące goniły się motyle. Spojrzałam na ciebie i uśmiechnęłam się... Tyś się zmieszał. Potem przeciągnęłam się,

http://rcin.org.pl

leżąc w hamaku i rzekłam: daj mi do czytania coś gorącego, purpurowego. Załamałam ręce... Chciało mi się śmiać i płakać wtedy... Tyś się pobłażliwie uśmiechnął, jakby mówiąc: Do przeczytania... dziecinna jesteś, Sabino... Wy wszyscy jesteście jednakowi. Potrzeba wam ciała. Każdy cal nagości przyprawia was o szaleństwo.

— Ale skądże wiesz o tem, Sabino?... Nie kochałaś chyba nigdy! Wychowałaś się w klasztorze, na modlitwie.

— Jestem kobietą. Szatan nawiedza mnie nocami.. Jestem jego najtkliwszą uczennicą!...

— Święty Boże!

— Ale dajmy temu pokój. Nie bądź szalony... Nie czas na to. Wiesz przecie, że przeznaczona jestem dla Wawrzyńca. Zawsze byłeś lekkomyślny i skłonny do pieszczot, ale pomyśl tylko: beczka złota!...

Bądźmy rozsądni. Mógłbyś potargać mi włosy i zetrzeć puder...

Możesz pocałować mnie w rękę...

A jak zostanę bogatą żoną Wawrzyńca, kupię ci zieloną kurtkę aksamitną, złote ostrogi i beret ze strusiemi piórami. I będziesz mnie mógł całować, ile sam zechcesz.

Wrzała uczta.

Już niejeden tęgi zuch leżał bezwładnie pod hebanowemi stołami, z głową oblazłą lepkiemi snami wina.

A jednak śpiewały jeszcze harfy i mandoliny.

http://rcin.org.pl

Fruwały szarfy, wstęgi i loki. Wirowały złocone trzewiki.

Suknie powiewały jak ogromne barwne wachlarze, cicho brzękały klejnoty na szyjach i piersiach.

Falowały białe ciała łon, łagodnie drżały jedwabne piersi dziewczęce.

O, jak śmiały się oczy i rozdymały nozdrza w zapachu ciał i kwiatów! O, jak szczęśliwe, jak rozpłomienione były kobiety! Stały się znowu młodemi dziewczętami! Wychodziły na drogi pierwszych zachwytów! Czuły pierwszą rozkosz i pierwsze zawstydzenie!... I ową świeżą tęsknotę do gór dalekich, do wschodzącego nad pustą, białą drogą księżyca! I bezgraniczną ufność do oczu, tańczących z niemi mężczyzn!...

A potem porywało ich upojenie. I stroje jakoby zaczęły rozplatać się i spadać. Spadały klejnoty, włosy leciały falą, odrywały się wstęgi i podwiązki.

Sabinie opadła podwiązka, więc ją niosła, ukrytą w dłoni, i szukała Apollina.

Twarz miała zalotną, zuchwałą i niewinną.

— Apollinie, Apollinie — wołała ładnym piersiowym głosem, śmiejąc się dziwacznie. — O, o, czy kto nie widział Apollina?

Nareszcie Apollo się znalazł.

Wyszli oboje do ustronnej sali. Klosze paliły się, ukryte w gąszczu kwitnących magnolii.

— Ach, Apollinie, jakiż ty jesteś lekkomyślny! Nic nie dbasz o mnie. Wszak mama prosiła cię...

— Ale o cóż chodzi? — rzekł Apollo.

http://rcin.org.pl

— Włóż mi podwiązkę. Nie mogę przecie schylać się sama. Włosy mi opadną, a ty wiesz przecie, że muszę być piękną dla Wawrzyńca.

I nucąc swawolną piosenkę o beczce Wawrzyńca ze złotem obrączkowem, oparła smukłą nogę na taburecie; Apollo zaś począł zapinać podwiązkę.

— No, już dosyć — rzekła po dobrej chwili — może ktoś nadejść.

Odepchnęła go i opuściła sukienkę.

Skierowała się ku sali z tańcami, ale nagle ugięły się pod nią nogi.

— Apollinie — zawołała — Apollinie!

Zwróciła ku niemu twarz olśnioną:

— Czy wiesz? Jestem pijana... zupełnie pijana... O, pocóż ja tyle piłam tego złocistego wina... O... ho!... ho!... ho!...

Odwróciła się do ściany, zakryła twarz dłońmi, śmiała się długo, potem cichutko załkała, potem zaśpiewała.

— A więc wyjdźmy na świeże powietrze — rzekł Apollo, sądząc, że trzeba coś powiedzieć.

Wyszli i pogrążyli się w cichej alei. Gwiazdy lśniły wysoko i uroczyście.

Ale to nie pomogło. Sabina była zupełnie pijana.

— Dobrze już, dobrze — mówiła — nie szarpcie mnie, sama pójdę... I owszem, do ślubu z tobą, Wawrzyńcze... Ale złoto będzie moje, moje...

Oparła się na Apollu, otoczyła mu szyję ramieniem i mówiła:

— Apollinie, gdzie jesteś? Czy przy mnie? Powiedz, że tak... to mnie uspokoi... zasnę sobie cicho...

http://rcin.org.pl

Stanęła przed nimi wysoka wieża z krętemi schodami. Zaczęli się wspinać w górę.

— O, jak to daleko — mówiła Sabina. — Jak wysoko... wysoko... A potem chciałabym zaraz zasnąć.

Nareszcie dźwignęli się na piętro najwyższe, aż ponad wierzchy wyniosłych, śpiących drzew.

Jak para duchów weszli do komnaty, którą zewsząd zalewa światło księżyca.

Strażnica astrologiczna. Stąd niegdyś czatowano na wyroki gwiazd.

Księżyc żarłocznie leje światło przez olbrzymie szyby ścian i dachu. Jest biało jak o świcie w komnacie, pusto i głucho.

Sabina odpycha Apolla (...I poco mnie tu przyprowadziłeś?...) i rzuca się na kobierzec.

Zaczyna się tarzać po nim, przyczem jęczy:

— O, jak księżyc leje mi się do gardła... Jak roztopione złoto Wawrzyńca... Zachłysnę się... O, jak mi gorąco...

Z szaloną lekkomyślnością obnaża szyję... Wije się w głuchych spazmach, podrzuca nogami...

O, Zeusie gromowładny! Nawet majtki podarła na sobie ta zapamiętała!

Tak chce być nagą! Tak szczerze i serdecznie chce być nagą!

Apollo (— gdzież się teraz podziała jego zmysłowość? —) łamie ręce, tuła się od kąta do kąta, jakby pytając o radę odrobinę przyczajonych w każdym ciemności...

Czasem zbliży się do szalejącej i wstydliwie za-

http://rcin.org.pl

kryje jej nogi suknią. Ale to wzbudza nowy atak odporu i gniewu.

Przemawia do niej słowami największych poetów, którzy opiewali kiedykolwiek wstydliwość żeńską, a ona na to:

— O, gdybyś mnie chciał rozebrać... Jestem senna...

— Przeklęte szczęście — myśli chłodny, beznamiętny teraz Apollo. — Że też ta wieża stanęła nam na drodze...

Drży z rozdrażnienia, z niecierpliwości, z olśniewającego zaciekawienia na to młode, oszołomione ciało.

Zbliża się jednak do fikającej nóżkami dziewczyny i mówi poważnie:

— Rozebrać pani (tak będzie najlepiej!) nie mogę, bo matka umierając kazała mi przysiądz, że nie będę nigdy rozbierał żadnej dziewicy z wyjątkiem własnej żony...

Sabina poczyna wyć z rozpaczy.

— O, nieszczęście!... Więc mi nikt nie pomoże! O, moje cudne, młode ciało, moje włosy uroczyste i złote!

Apollo spostrzega, że w upojeniu wyskokowem podobna jest do matki. (Ale mniejsza o to — myśli żałośnie).

— Ha, trudno, jeżeli nie, to inaczej sobie poradzę...

Mdleje.

Jest blada, usta ma nieruchome i rozwarte. Piersi przestały się poruszać.

Apollo czuje ulgę. Jest teraz tak spokojna i niewinna.

http://rcin.org.pl

— Cicho, cicho... Oby tylko mdlała jak najdłużej...

Ale po chwili zaczyna się niepokoić:

— Cóż u licha? Nie umrze mi tu chyba?!

Obchodzi całą komnatę i na szczęście znajduje dzban z wodą.

Macza palce. Naciera jej skronie, mały figlarny nosek, wreszcie olśniewające, dziewicze piersi.

Ale omdlała leży nieruchoma, jak martwa.

Wtedy Apollo wydaje kilka dzikich okrzyków rozpaczy i ma zamiar bić głową o ścianę. Ale zamiast tego...

Zbliża się i zaczyna przyglądać.

O, jakie piękne ramiona!

Odchyla bieliznę. Z zapartym oddechem dotyka piersi.

O, ta miękka złotawa barwa! Cudowna okrągłość linii, czarująca jak objawienie! O, to wezbranie łagodne a odurzające!

Czuje się olśnionym, porwanym. Podnosi rękę, tak że w zaklęsłą dłoń niby w czarę zlewa się światło księżyca, i po walce z chaosem własnej natury wylewa się z niego następująca natchniona improwizacya:

„Okryty ciemną nocą wchodzę do nieznanego miasta. Wkraczam w zaczarowany jej obecnością krąg. Każdy alabastrowy stopień jest zwierciadłem, w którym leży zamknięty jak w urnie ślad jej stopy. Na klamkach i zaworach drzemie gorąco jej palców. Dom jest pełen ciszy, tylko jej oddech szepcze lub śpiewa po komnatach. W hebanowych ścianach olbrzymie zwierciadła połyskują, jak stawy kry-

http://rcin.org.pl

ształowe. Mówią, że odbijają one płomyki świeczników, na podobieństwo małych pełgających komet, złociste stroje, ramiona i warkocze pięknych kobiet. Ale dla mnie są tylko jej samotną grotą kryształową. W jednym pali się złoto jej włosów, w drugim faluje perłowa szyja, w trzecim błyska mi jej młoda pierś jak róża przy księżycu, a w innym jeszcze lśnią jej białe stopy tak, jak ujrzałem je niegdyś poprzez zielone łodygi roślin polnych, gdym leżał jak długi w trawie. Okrągłe smagło-złote węże jej ramion wznoszą się z dyamentowej głębi i pieszczącym płomieniem oplatają mi szyję. Ach, pragnę spłoszyć z kolan jej światło, kiedy śpi odsłoniona, a księżyc wchodzi do niej!

Jestem nią pełen aż do rdzenia kości! Ostatnia kropla krwi mojej szemrze i chce paść na nią, jak fala na roziskrzony w słońcu brzeg. Ach, gdyby przyszła! Nie chcę ani słowa od niej! Niech tylko rozpostrze szeroką tęczową szatę i niech mnie weźmie! Pod miękkimi jak połysk liści zwojami chcę zginąć, zlać się z nią w jedno! Niech noc gwiaździsta pochłonie mnie i zatopi w morzu rozkoszy nazawsze!“

Improwizacya skończona, Apolla rozpiera duma twórcza, ale Sabina ani myśli się obudzić.

Leży sobie skupiona, niewinna.

Apollo jest zdumiony. Uczuwa wirowanie, różową mgłę w oczach. Tysiące tęcz i skier złotych lecą w dół.

Klęka przy niej. Widzi spojrzenia ciężkie, upalnie znojne, jakiemi darzyła go niekiedy. I ten uśmiech,

http://rcin.org.pl

którym raz prysnęła mu w twarz, jak dzikie giętkie zwierzę.

Pochyla głowę, całuje ją w ramiona ciepłe jak gardło ptaka.

Uśmiecha się... szeroko, bezmyślnie, widząc jak przez białą mgłę złotawą, gorącą smugę na jej szyi.

Zwiera się z nią w pocałunku. Całuje ją... pieści nieprzytomnie...

Sabina budzi się i oplata mu szyję.

— O, jakże jestem szczęśliwa! — szepcze, tuląc usta do jego ust.

Patrzy nań z uniesieniem. Nuci cichą, radosną piosenkę... wzdycha rozkosznie... A księżyc, ten cichy, złoty, zazdrosny kochanek, co tyle razy śledził ją przez firankę jarzącemi oczyma, gdy rozbierała się przed zwierciadłem...

Ach! Ach! Cóż on wyrabia!

Ucieka w popłochu, jakby ścigały go furye, a po chwili znów wraca z miną niewinną i błyszczącą. Pędzi gdzieś w górę, wysoko i samotnie, jakby chciał zgubić dręczące go pożądanie. To znów wstydliwie zanurza się w morzu obłoków, przesuwa się jak łódź, zamieniając białe, lekkie chmurki w fruwające lilje. Zerknął na nią i jak ptak spłoszony uderzeniem kija pomknął ku górze. Po chwili jest już inny. Sentymentalny, ociężały, jakgdyby rozpamiętywał tę chwilę żałosną, kiedy będzie lał światło na jej grób samotny i opuszczony. Ale oto wzmaga się w sobie. Widocznie przeważa w nim nadzieja, bo roznieca coś jakby lampę perłową, chlubi się i popisuje swem światłem, które leje się cichemi

http://rcin.org.pl

potokami jak woda ze wzgórza. Nagle znów odmiana. Nabiera przekonania, że ona go jednak nie chce, bo ukrył się w sieci chmur i pogrążył w mroku rozpaczy. Ale nie na długo, bo oto już sadzi jak nurek przez nurt obłoczny i przebijają srebrem jego plecy. Do dyabła! Toż wpadł w rozwartą paszczę obłoków, a one, połknąwszy go, wyginają się jak grzbiet lamparci i charczą w bólach, wreszcie wypluwają go. Co za zalotność! Znów jest przetarty i błyszczący!

Przestał płynąć, staje nad nią, patrzy... Czerwieni się i rozlewa, rozlewa na pół nieba, krwawo, lubieżnie...

Ach, jak ona czuje to wszystko w olśniewającem jasnowidzeniu! Roi, że leży naga, perłowa, jakby utkana z ciepłej przędzy...

Księżyc jak pałający kochanek leje na nią blaski. Wszystkiemi porami sączy się w nią i prześwieca. Czuje jego światło rozkoszne i kojące na skórze i pod skórą, we krwi, w głębi mózgu, w piersiach i sercu.

Przepaja jej palce u rąk i nóg, rozlewa się i wsącza wzdłuż długich połyskujących włosów, sięga do dna oczu...

Leży biała, porusza cichemi palcami u nóg, dotyka ręką lśniących bioder i stromych, prężących się piersi.

O, jak błogo! Marzy, że ciało jej staje się lekkie i wiewne, unosi się z kobierca, wiruje coraz wyżej, przebiega między gwiazdami.

Potem leży cicha, bosa, znów obojętna... Nie myśli o niczem...

http://rcin.org.pl

Wtem żar popłynął po łonie i biodrach.

Nadchodzi chłodne, dziwaczne widzenie.

Między palcami ma białoróżowe pletwy i takie same ogromne pletwy z boków, między rękami. Rozkładają się i składają. Z tyłu wyrasta jej ogon różowy, galaretowy i przezroczysty, zakończony siedmiu złotemi pierścieniami (dar zaczarowanego królewicza!) i zgiętym kolcem.

O, być czarownicą, strzygą! W taką noc miesięczną spełzać z wieży głową w dół. Czuć, jak pazury wbijają się w mur, jak przystają szczelnie pletwy i zakrzywiony kolec niby dziryt chwyta za gzemsy! Wiatr powiał. Włosy pobiegły za nim, krew zakipiała chłodnym dreszczem! Tak spełzać w dół, zaglądać w nisze i wnęki, odpoczywać w ościeżach okiennych przy drzemliwym blasku barwnych witraży, owijać się koło kamiennych posągów i zaglądać w oczy ekstatyczne. A nim stopa dotknie ziemi, puścić się nagle ssawkami muru, przelecieć cicho i ukośnie jak nietopetrz w otwarte okno. Tam siąść w nogach łóżka na kołdrze śpiącego, i wysunąwszy ostry język, chłeptać ciepłą krew, słuchając sennych jęków...

O słodkie marzenie strzygo-dziewicze!

Upojona rozkoszą zwraca oczy na Apolla, w których przez chwilę błyska światło drapieżne, a potem rozlewa się połysk niby sinego wina i szafiru.

Nareszcie — dość tej kąpieli! Apollo czuje się trochę nieswojo. Zachowuje się prawdziwie jak mężczyzna: nic a nic nie rozumie. Poziewa chwilami, pomimo gorącej miłości i zachwytu bez granic, myśląc jakąś

http://rcin.org.pl

odrobiną mózgu, że zachodzi dziwne misteryum między nią, nocą a księżycem.

Ona patrzy nań z pieszczotliwą wzgardą, jak na oszukanego małżonka.

Ale po chwili zwycięża ją dobroć.

Obrzuca go milutkiemi, jak kwiaty leśne, spojrzeniami, w których iskrzy się promienna czułość, jak łzy w oczach szlochającego.

Oby tylko nie pozostawić nic w tej wieżycy!

— Czy masz szpilki we włosach i podwiązki?

— Tak, tak — wszystko w porządku. A teraz chodźmy.

Schodzą. Naprzód wolno, a potem coraz chyżej. Śmieją się głośno i całują jak dzieci.

Mieszają się z tłumem biesiadników.

O, jak słodko gra muzyka! Srebrzyście śmieją się trąby i rozkosznie łka wiolonczela. Jak upojnie pachną różowe oleandry. Podłoga chwieje się w takt, płynie, mieni się i połyska...

Czuła rozkosz łączy ich ciała. Ach, pragną tańczyć tak zawsze! Włosy jej pachną, obie nabrzmiałe piersi tulą się i oddają. Na ustach jej rozkwita uśmiech zadowolonego, nietęskniącego już za niczem upojenia — pierwszy taki uśmiech od chwili, gdy patrzy na świat...

http://rcin.org.pl

DON JUAN ZAGROŻONY,
CZYLI POTĘGA TRADYCYI.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

To dziecko zachwycające, żywe jak iskra, ma zawsze koło siebie kilka piastunek. Chodzą za nim jak pawice. Są to wysokie, przepyszne dziewczyny z wyniosłą piersią, piękne i leniwe. Przysiadają na ławkach, drzemią, szczebioczą między sobą, lub nucą proste piosenki, zachwycająco szczęśliwe, bez troski i chmury na swem młodem niebie.

Don Juanik wlecze po piasku ogrodowym błyszczącą szabelkę. Ścina kwiaty, rzuca się na murawę, zabawnie szasta nóżkami, jak wielki owad różowobiały.

Słońce się trochę zniżyło i osłabło. Westchnienie ulgi wionęło po rozprażonych drzewach. Odzywa się ukryta w gąszczu muzyka. Marzące o czemś dalekiem dźwięki uderzają don Juanika. Staje zdumiony, wznosi ciekawy paluszek, pyta naiwnie:

— Co to? Co to?

Wtedy jedna z piastunek nie może pohamować uniesienia. Podnosi dziecko, porywa je w górę, buja wysoko. Oboje promienieją szczęściem. Malec zanosi się od śmiechu i usiłuje zerwać wstążkę, którą przystroiła włosy. Wreszcie ona osypuje twarz jego szalonemi pocałunkami, pocałunkami nienasyconemi,

http://rcin.org.pl

jak gdyby ten maleńki człowieczek był jej kochankiem.

— — — — — — — — — — — —

Wbrew spodziewaniu ten chłopiec rozkoszny zaczyna chorować, robi się smutny. W osiemnastym roku wygląda dziecinnie. Jest to wysoki szczupły młodzieniec o twarzy bladej jak słońce późnej jesieni. Słodkawy uśmiech ust delikatnych robi go podobnym do anemicznej dziewczyny. Wypłowiałe oczy proszą, aby go nie urazić. Patrzy z nich smutek jak nieuleczalna choroba. Podając rękę, zwraca się nieco bokiem, jakby chciał ukazać się z profilu lub wogóle przestać istnieć. A gdy wychodzi, chwiejąc się na długich nogach, robi wrażenie, że poszedł grzać się na słońcu.

— — — — — — — — — — — —

W całym domu ani jednego dzwonka, aby nie drażnić napróżno jego nerwów. Głębokie strzyżone kobierce, na których kroki głuchną. W komnacie sypialnej bardzo wysoki strop, a na nim widać ognistemi kolorami malowaną historyę Mirrhy.

Pełno również zwierciadeł, olśniewająco czystych i zadumanych. Kwiaty w wazonach z różnobarwnego kryształu. Łoże obszerne i miękkie. Nad niem namiotek z czerwonego aksamitu z frendzlą złotą i kolumienki jaspisowe.

Dostojny młodzieniec — ostatni potomek rodu Maranów — gaśnie zwolna. Ręce ma białe i wątłe.

http://rcin.org.pl

Robi wrażenie, że nie utrzymałby szpady. Natomiast lubi się często zamyślać.

Koło zamku ciągnie się długa aleja topoli włoskich, wysoka i skupiona. Szaro w niej i cicho jak w wąwozie. Na końcu lśni sadzawka. O zmierzchu latają tam gęsto sówki i nietoperze.

Tu najchętniej przychodzi don Juan. Wymyka się małą, żelazem obitą furtką. Jest mocno pochylony, jakby dźwigał brzemię grzechów swych przodków znakomitych.

Przechadza się w milczeniu. Jeżeli ukaże się kto na drodze, don Juan schodzi na bok. Twarz jego zalewa się łagodnym rumieńcem.

— — — — — — — — — — — —

Wieczorem pije czekoladę i zjada dwa jaja na miękko, spoglądając melancholijnie na portret matki, która już dawno nie żyje. Usługują mu młode dziewczęta w strojach średniowiecznych, z obnażoną szyją i ramionami.

Po wieczerzy niekiedy zwiedza zbrojownię. Marszałek dworu objaśnia mu po raz tysiączny i pierwszy którym mieczem który sławny przodek odrąbał to lub owo wrogowi państwa lub swemu osobistemu. „A kiedy wypadłe z rozprutego brzucha wnętrzności tarzały się i babrały w piasku, Rodrigo, wsparty na dymiącym krwią mieczu, zaczął przemowę, w której kwiecistemi zwrotami wysławiał wdzięki porwanej przemocą żony powalonego — donny Angieliki". Don Juan słucha. Z twarzy jego

http://rcin.org.pl

trudno wyczytać, czy go to bardzo nudzi. Kiedy zaczyna ziewać — znak to, że czas do sypialni.

Tam wchodzą lokaje. I rozbierają księcia. Tak się robiło od wieków. Ani to dziwi, ani razi don Juana. Oto już cały okryty kołdrą, tylko głowę widać i miękkie bujne włosy.

Wchodzą dziewczęta. Zaczynają nucić miłą pieśń dobranocną. Śpiewają o światłach, które pogasły w oknach, o okrętach, które zawinęły do portu, o morzu, które śpiąc cicho pluszcze. Z pod stropu płynie słodki dźwięk fisharmonji.

Don Juan leży i słucha. Patrzy na ich małe ręce, złożone jak do modlitwy, na trzewiczki z ostremi czubkami. Na każdym siedzi sztuczny motyl kolorowy.

Gdy pieśń skończona, pochylają się wszystkie, dygają etykietalnie, odchodzą cicho.

Jest sam... nareszcie.

Pokój tonie w półświetle smutnem, perłowem.

Cisza w całym zamku. Ani jednego oddechu. Dobrze...

Wypłowiałemi oczyma patrzy don Juan niby w dalekie widziadło w szalejącą z żądzy Mirrhę. Jej dziko rozwiane włosy krzyczą jak łuna rozżartego pożaru.

— — — — — — — — — — — —

Kiedy tak łąka lśni cała szkliwem badyli i małemi gnijącemi bajorkami, a słońce — ogromne, rozpłaszczone, lejące się słońce zniża się nad wierzbami — pełne dobrotliwej łaskawości — wychodzi karzeł w kapeluszu z piórami.

http://rcin.org.pl

Kłania się. Pióra zamiatają szorstki piasek drogi.

— Szlachetny don Juanie — prawi — pamiętaj coś winien twemu rodowi. Znałem twego ojca, panie, znałem i dziada. Znałem stryja. Wszystko to byli dzielni uwodziciele i umierali na paraliż postępowy. Pamiętaj o tem, don Juanie!

Karzeł znika.

Słońce zaszło. Szarym tonem zaciągać się poczynają pola. Niebo blednie. Czarne ptaki lecą na nocleg.

— Halucynacja — myśli don Juan. — Dziwaczna halucynacja!

Ogarnia go niepokój. Przenika go do głębi melancholia dnia umarłego. Nagle jedno spojrzenie w samotną głąb widnokręgu i trwoga zabobonna chwyta go za gardło! Jest tak młody! Żyć będzie tak długo jeszcze! I zawsze ta sama szydercza pustka naokół!

O Boże, Boże! Co robić z tą masą godzin, niezapełnionych niczem, dzwoniących nudą jak skazaniec kajdanami!

Nogi drżą. Włosy stają słupem, śmiertelna bladość i chłód na twarzy. Zimne krople potu ściekają, ze skroni nieszczęśliwego, jak łzy. A zęby szczękają, szczękają niepowstrzymanie, aż chce krzyczeć, lecz groźna ręka dławi mu piersi!

— — — — — — — — — — — —

Na wielkim dziedzińcu, gdzie wieczorem płonie rząd zielonawych latarni, przechodzi don Juan obok leżącej pokotem zwierzyny. Stężałe krople krwi sta-

http://rcin.org.pl

nęły żałosnym koralem na pyszczku łani. Jej wielkie oczy — pełne marzącej łagodności lasu — zamknięte, a surowa rana w boku wskazuje, którędy wyszło cudowne życie rączego stworzenia. Dalej jelenie, łosie o tęgich rosochatych rogach; odyńce o skrwawionych kłach, z wywalonemi sinemi jęzorami; skurczone potworne czarne niedźwiedzisko, o oczach wysadzonych na wierzch, otwartych i stężałych w rozpaczliwej wściekłości; długi rząd zający — tu i ówdzie ruda kita lisa i jego pysk spiczasty.

Don Juan przyspiesza kroku. Zatyka nos.

W powietrzu unosi się odór stygnącej krwi, żywicy i futra.

— Bydło kulturalne — mruczy, uchylając zresztą biretu na widok zgrai myśliwych w opiętych rajtuzach i kurtach, zziajanych, czerwonych od próżności i zadowolonych mordem.

— Komplet gęb zwyrodniałych — szepcze mściwie, patrząc z pod oka na pełne krótkie twarze, rozrosłe szczęki, ścięte czoła, oczy świecące wesołą zarozumiałością.

— — — — — — — — — — — —

Stanowczym krokiem zmierza do apartamentów ciotki. Ta osoba wychowuje go po śmierci rodziców. Siedzi właśnie w głębokim fotelu z wysokiem oparciem, nad którem unosi się korona książęca. Jest to majestatyczna, piękna pani. W jej śnieżnych włosach wpięte lśnią perły. Na piersi, która nie straciła kształtu, połyskuje krzyż opalowy.

http://rcin.org.pl

Don Juan oświadcza z uszanowaniem, że chce zostać jaroszem.

Ciotka przykłada do oczu szkiełka. Przez chwilę patrzy na młodzieńca, jakby się chciała upewnić, że to jej najdroższy siostrzeniec. Poczyna mówić, uderzając się lekko po dłoni lornetką.

— Dziękuję ci, mój drogi, żeś przyszedł. Chcę z tobą pomówić otwarcie. Na świętego Wawrzyńca skończysz lat osiemnaście. Jesteś już stary, mój chłopcze.

Tu ciotka uderza don Juana po ramieniu oprawną w złoto lornetką. Uśmiecha się z żartobliwą melancholią, odsłaniając rząd pysznie zachowanych zębów. Don Juan lekko się czerwieni.

— Czy często zastanawiasz się nad wielkością i wszechmocą Boga? Czy patrząc na zieloność pól, słuchając skowronków, myślisz, że to On stworzył to wszystko? Że opiekuje się liszką, która pełznie po liściu, łasicą, co wysmukłą mordkę wystawia z gąszcza, orłem nad górami, rybą w głębinach wodnych, ostem w parowie... Ale szczególną troską otoczył człowieka — od nędzarza z sakwami, pełnemi wyproszonego chleba, od robotnika, co siada przed miską cynową, na której mizerna kurzy się strawa, do króla, któremu więcej niż złotogłów ciążą sprawy państwa. Każdy ma swój los wyznaczony, mój chłopcze. Dlaczego, powiedz mi, jeden człowiek chroma o kulach przez całe życie, a drugi jest linoskokiem? Dlaczego jeden człowiek drży z zimna na barłogu i zrywa się, gdy kogut zapieje o czarnej jeszcze nocy, a drugi wyleguje się dowoli

http://rcin.org.pl

w puchach? Dlaczego jeden zgłębia z powagą mędrca odwieczne tajemnice, a drugi z twarzą ubieloną bawi gawiedź uliczną? Bóg tak chce, prawda? Wśród tego ładu, ustanowionego przez Boga, są galernicy i bohaterowie. On wywyższa rody. (Tu palec ciotki wzniósł się w górę). Jednym z tych rodów, które Bóg podniósł wysoko, jest twój ród, mój chłopcze. Maranowie oddali królom swym i państwu wiekopomne zasługi. Miecz ich spracowany w rzetelnych potrzebach. Ród wasz odznaczał się ognistą męzkością. Jak piorun biliście wrogów, jak piorun wpadali do alków. Zdobywaliście kobiety wszędzie, gdzie zakwitała piękność niewieścia. (Don Juan jest tak rozrzewniony, że niewylane łzy palą go w gardle!) Niejeden z młodych Maranów (tu głos ciotki zabrzmiał rzewniej), obarczony krwią zbyt wrzącą, wydawał się młodzieńcem raczej przygnębionym i nieśmiałym, dopóki nie zapłonął namiętnością. Mój drogi chłopcze, niezadługo może opuścisz ten zamek — pojedziesz na dwór królewski. Zanim to nastąpi, zacznij żyć, don Juanie. Upewnij twoją ciotkę, żeś jak inni Maranowie — piorunem. Wierzaj mi: Bóg rzuca piorunami i wie, co czyni. Rozumiesz, że nie mogę wysłać na dwór królewski, gdzie opinia o Maranach jest ustalona, wstrzemięźliwego niedołęgi. Widzisz — jestem otwarta z tobą, mój chłopcze: czterdzieści młodych dziewcząt czeka na twym dworze. Wszystko to są panny gołębiej skromności i z dobrych rodzin. Ale wierzaj mi: kobieta posiada zmysł historyczny! Jeżeli nie każda potrafi ściąć głowę wrogowi, jak Judyta, to każda pocałunkami swych

http://rcin.org.pl

ust umie obudzić duszę przyszłego bohatera. Czy wyrzekasz się dzielności przodków? Nie? Wiedziałam o tem. Idź więc i wiedz, że dziewczę niewinne (tu ciotka spuściła oczy) rzadko bywa zbyt surowe dla młodzieńca tak znakomitego jak ty rodu!

— — — — — — — — — — — —

Słowa ciotki były dla don Juana głosem, nawołującym do porządku. Istotnie, trzeba raz zacząć. Zrozumiał, że życie stawia twarde wymagania. Jednem z takich było — mieć kochankę, uwieść ją, porzucić, unieszczęśliwić. Było to w tradycyjnym programie rodu, do którego spełnienia był powołany.

I oto don Juan zaczyna wypatrywać ofiary dla swych zmysłów. Niekiedy krzywi twarz złośliwie, wykonywa kilka energicznych rzutów gimnastycznych, jakby w zamiarze podniecenia leniwej krwi. Jednym zamachem pozbywa się skromności. Bezwstydnie wpatruje się w dziewice. To znów, jakby na znak umówiony, wszystkie one spojrzą pytająco na księcia, a don Juan uśmiecha się ironicznie i jest nawet tak bezczelny, że nuci im w twarz impertynencką piosenkę z refrenem:

la, la, la! la, ri, ta...

Ach, niech tylko don Juan zatrzymał na jednej z nich spojrzenie dłużej, niż na innych, już ta stawała się czujną, skupiała się w sobie, wabiła go cichutkiemi uśmiechami! Kładła białą dłoń na okrągłej piersi i wzdychała. Kusiła go ruchami pełnemi słodyczy i bezgranicznej cudowności.

http://rcin.org.pl

Nieraz w piersi don Juana wrzał rozkoszny niepokój. Gdyby tak sięgnąć po jedną z nich! „Nie, nie, nie“ — powtarzał, usiłując zagłuszyć bicie serca. Zdawało mu się, że kiedy on zaczyna wodzić po nich oczyma, one oczekują — pełne ufności, że stare grzechy świata potoczą się raz przecie dawnemi łożyskami. Spoglądał na nie z oburzeniem, odchodził. Roił, że mówi do nich:

„Do pioruna, nie potrzebuję waszych usług, moje panie!“ I widział, jak czterdzieści niewiniątek tarza się w głuchej męce po rozpaczliwych ugorach cnoty!

— — — — — — — — — — — —

Marzenie było dla don Juana zawsze tą furtą, przez którą wymykał się od ludzi-upiorów. Nieświadomie tkwiła w nim myśl, że nigdy nie potrafi naprawdę uścisnąć dłoni żadnego ze swych dworaków!

„Po za zamkiem — rozmyślał — pleni się także życie. Za błotami, na których rosną kaczyńce i dzikie, trędowate storczyki — zapach ich mdły, duszący! — mieszkają po wsiach wieśniacy. Krają ziemię pługiem, oblewają potem we żniwa. Drugą kategoryę ludzi — zbiedzonych marzycieli — stanowią żebracy. Tych jest jak mrowia — może nawet zawiele w tem państwie, ale widocznie Bóg lubi, aby doń mruczono pacierze. Dalej idą rozmaici rzemieślnicy... Ach, jaka szkoda, że dziś rzemiosło upadło! Rzemieślnik nie jest już artystą! Żołnierze są dziwną odmianą ludzi, postrojonych jak koguty, zadzierzystych i próżniaczych. Dworacy? Cóż mogę

http://rcin.org.pl

rzec o dworakach — o tych ludziach z pochlebstwem w zanadrzu! Łatwiej o dzban mleka w pustyni, niźli o prawdę w ich oku! A wielkie miasta dymią, jak ołtarze Baala! Pomyśleć tylko, że tysiące kobiet umiera tam, podobno, śmiercią powolną, gnije w rozpuście, zarażając ulicę niezdrowym wyziewem wynoszonego na sprzedaż ciała, a wszyscy, nie wyłączając filozofów i filantropów, patrzą na to z bezczelną rezygnacyą. Nie mówię już o kobietach uczciwych, które... (tu don Juan machał ręką z lekceważącą niechęcią). I ten nieustanny ryk wielkiego miasta, wrzask waryata, szamocącego się na łańcuchach, niezmordowanego jak potwór o siedmiu głowach, które nigdy nie zasypiają jednocześnie i gdy jedne oczy zachodzą bielmem znużonej rezygnacji, w innych pluska i szydzi złośliwe życie!".

— — — — — — — — — — — —

„Pewnego dnia powieziono mnie w karecie, by król jegomość miał szczęście poznać don Juana, bo ja znałem już twarz królewską z portretów. Obok siedział wielki ochmistrz — ten sam, którego nos pęcznieje dotąd na mym dworze — od wysączanych z westchnieniami trunków. Dzień był słoneczny. Wielkie szyby błyszczały oślepiająco. Konie brząkały uprzężą. Niepokój kołysał me serce. Mnóstwo kolorowych markiz nadawało miastu pstry wygląd, przypominający błazeństwa Pierrota. Podniosłem głowę, ujrzałem na balkonie młodą dziewczynę. Spojrzała na mnie tak dziewiczo i przyjaźnie, jakby kochała mnie od wieków. Uśmiechnęła się do mnie

http://rcin.org.pl

jak sznur pereł, jak puszcza leśna. Na dworze królewskim patrzyłem, czy jej niema. Czekałem na nią. Nie ujrzę już jej nigdy...

Zwolna zniża się słońce. Topole goreją w blaskach. Zdaje się, że mnóstwo żółtych kwiatów wyszło nagle z łona ziemi i zajaśniało złotem.

— — — — — — — — — — — —

Don Juan — ach, zawsze tak melancholijny, zawsze wśród mar i upiorów tylko! — wkracza na drogę, wijącą się wzdłuż rzeki. Tam niesie swe serce samotne, jakby z nikłą, tajemną nadzieją, że się cud stanie, tam idzie — wśród pól z jednej strony i połyskującej wstęgi wodnej z drugiej...

Jest nadzwyczajnie duszno i gorąco. Niebo przybrało ołowianą barwę. Obłoki spiętrzyły się. Czekają jak miedź rozpalona. Na ich widok don Juanowi stają w myśli najkrwawsze wersety Biblji. Woda zgęstniała i sunie jak szlam z tłustym bełkotem.

Nagle jego przygnębienie — przygnębienie potomka, osieroconego przez wspaniałych przodków — rozpływa się w nudę gorzką, nieprzejednaną, śmiertelną. Jak obcy patrzy z chłodnem obrzydzeniem na swe życie. Ceremoniał dworski, etykieta, próżniactwo, marzenie bezsilne, majestatyczna siwa ciotka, czterdzieści młodych dziewczyn zalotnych, płytkich, nieumiejących ukoić tęsknoty...

— — — — — — — — — — — —

Położenie don Juana było ciężkie. Widział, że Bóg Najwyższy wspiera i błogosławi ród Maranów.

http://rcin.org.pl

Rozległe pola i winnice, lasy pełne zwierzyny, ogród o starych rozłożystych drzewach, podwórze wyżwirowane, na którem noga tak miły wydaje chrzęst — wszystko świadczyło o łasce. Zamek był starożytny. Poczerniały zegar wieżowy wskazywał jednak stale, że czas upływa i wydzwaniał surowym głosem godziny. I gdy poważny cień padał od wieży zegarowej na dziedziniec, gdzie tu i ówdzie dzięki opieszałości służby wybijała się zielona, niewypielona trawka, don Juan uczuwał nagle konieczność i powagę trwania Maranów. Chwiał się w swej samotności i biernym uporze. Gotów był uznać swój błąd, ukorzyć się przed wolą ciotki i zacząć życie. Lecz na widok młodych pięknych osóbek cierpł wbrew woli. Oburzał się milcząco. Czuł, że w niewinnych uśmiechach czai się zasadzka z góry uplanowana. To go męczyło. W ich obecności miał w duszy surowe, nieprzychylne milczenie. Rozmyślał, jak znaleźć wyjście z tego stanu. Niekiedy stawała mu przed oczyma nieznajoma z balkonu. Serce jego zalewało się radością. Żył przez chwilę w innym kraju i życiem innem.

— — — — — — — — — — — —

Pewnej nocy ujrzał okno otwarte nad kipiącą gwarem ulicą. W oknie siedziała nieznajoma. Gdy go ujrzała, wychyliła się i z uśmiechem olśniewającej szczęśliwości rzuciła mu różę, która spadła na jego dłonie.

Don Juan obudził się. Czuł wyraźnie miękki upadek kwiatu na dłoni. Serce jego biło gwałto-

http://rcin.org.pl

wnem szczęściem. Wyciągnął ręce przed sobą. Chciał uczuć na nich drogi ciężar. Długo tak siedział w mroku nocnym. Łzy spływały mu po twarzy.

Od chwili tych łez pokochał nieznajomą. Odczuł wtedy podwójnie, jak jest samotnym w tym zamku i jak umieją być nieszczęsnemi godziny, te panie szare i smutne, ciągnące nieprzerwanym, tragicznym szeregiem.

— — — — — — — — — — — —

Odtąd w duszy don Juana odbywał się proces tajemniczy, pełen rozkosznej męczarni: powstawała z martwych widziana niegdyś i zapomniana dziewczyna. Jakże pragnął ujrzeć ją znowu i tak właśnie, jak za pierwszym razem. Niech się nic nie zmieni — to samo niech będzie przechylenie głowy i rozchylenie warg i ten sam cień figlarny na szyi od bluszczowej gałązki. Wysileniem pamięci i tęsknoty wskrzeszał chwilę minioną. Na dalszy plan odeszła ciotka i młode dziewczyny. Cały świat się zmienił w nią — oczekiwaną i wywoływaną w najgłębszem skupieniu — i w chaos mroków, które sprzysięgły się, by ją pochłonąć. Don Juan walczył o nią. Była to pierwsza walka w jego życiu i nie bez krótkotrwałych zwycięstw. Ach, ten jej uśmiech przedziwny! Widywał ją zawsze na tle miasta, strzelającego w niebiosa olbrzymiemi wieżami i kopułami, miasta niesłychanego potwornym rozrostem. Ogromny zielony ogród pochylał się w jedną stronę jak wachlarz. Potężny dzwon kołysał się na wieży i grzmiał uroczystą powagą. Po niebie szafirowem

http://rcin.org.pl

płynęły lekkie białe obłoki, jak nieprzeliczone stada ptaków. Nagle ukazywała się ona — na mgnienie oka. I przez to mgnienie dusza don Juana tonęła w upajającem zachwyceniu.

— — — — — — — — — — — —

Pewne nocne zjawienie się nieznajomej stało się dla don Juana prawdziwem wyzwoleniem i przełomem. Świadczy o tem wiersz, który zarazem niech będzie dowodem, że ten blady młodzieniec ma stanowczo naturę poetyczną:

„Uśmiechy jaśniały
Obietnicami promiennej piękności,
Dusza ma była jak świetlane morze...
W oddali jasne zorze powstawały,
Pełen radosnej byłem żarliwości.

Byłem jak błogosławiony,
Zakosztowałem ciszy i ochłody,
Ze źródeł szczęścia piłem — ja spragniony!
Miłości mej zaszemrał potok młody.

Nie czułem nienawiści do nikogo,
Znużenie pierzchło jak złudzenie senne,
Cud w głębi duszy dopełniał się błogo,
Jak słońca myśli płonęły promienne!

Jam jej nie widział, lecz serce gorzało,
Bo była przy mnie — najmilsza z przeczystych!
Nowem jaśniałem życiem — duszą całą,
Pieściłem ją wśród łez rzęsistych.

Szczęśliwe były łzy — zbawienia i pokoju...
Już dzień nieszczęsny nie zagrażał mi,

http://rcin.org.pl

A com wycierpiał w tęsknotach i znoju,
To było złudą — ale spadła rosa
Orzeźwiająca — smutek zmyły łzy,
Przez nią ma dusza zwiedziła Niebiosa!

— — — — — — — — — — — —

Kiedy naokoło czuwa czterdzieści par uszu podsłuchujących, sercu trudno uchować tajemnicę. Ciotka i dziewczęta spostrzegły, że się coś święci. Wzrok don Juana lśnił blaskiem dawniej niewidywanym. Co najgorsza, nie widział już wcale dziewcząt. Usuwał je z drogi ruchem grzecznym, lecz stanowczym. Wzburzenie rosło: „Do pioruna! Ten młokos, zdaje się, nas lekceważy. Ani myśli o uwodzeniu. Na cóż więc kwitnie nasza piękna zalotność? Czy mamy czekać, aż łaskawy Czas zacznie nas trapić zmarszczkami i oschłością humoru? Albo może zadawać się z dworzanami (pfe!). Jest on grzeczny. To prawda. Okazuje nam dużo szacunku! Ale na pękniętą krynolinę! Szacunek powinien mieć granice! Zbyt gorliwy staje się obelgą. A to ładny don Juan! (Jakże okropnie zmieniają się czasy)! Niechże się zdecyduje! Albo nas przeprosi i... albo powiedzmy mu: adieu! Rozjedziemy się... Na froncie zamku trzeba będzie zawiesić szyld z napisem:

Kto chce cnotę marynować,
Lub nadpsutą reparować,
Niech tu zechce udka schować.

Atmosfera — mimo etykiety — stawała się coraz parniejsza. Dziewczęta trzymały oczy utkwione w biu-

http://rcin.org.pl

stach, wzdychały, sznurowały usta. Ciotka na dobranoc coraz to solenniej całowała don Juana w czoło. Smutek był i powaga, jak zwykle w porządnym domu, gdy młodzieniec wchodzi na niewłaściwą drogę.

— — — — — — — — — — — —

Młody chłopak nie powinien żyć jak trapista. O tem miał pouczyć don Juana pewien artysta-malarz, zgodzony po to, by był mu towarzyszem i portrecistą. Młodzieńcy po kilku tygodniach zawarli przyjaźń. Pewnego wieczoru zaczęli rozmowę — żartobliwą z początku. Potem zeszła ona na tor zwierzeń. Dusze ich zerwały tamy i myśli popłynęły swobodnie:

— Nie wiesz, mój drogi — mówił don Juan — jak wszystko układa się we mnie w jednej płaszczyźnie, jak wszystko oświetla jedno i to samo tkliwe lub ironiczne słońce. Wydaje mi się nieraz, że siedzę na zapomnianych schodach, po których nikt już nie chodzi. Drzwi są zamknięte. A poza niemi jest jakby ludzkość cała, zmawiająca się na to, by nowe rozpocząć życie. Czuję się tak boleśnie osamotniony. A jednak pamiętam mą radość dziecięcą! Szczęśliwy byłem wtedy. Raz biegłem długim korytarzem ku promieniowi słońca na szybie. Nagle wiatr zdmuchnął promień. Potknąłem się i upadłem. Wydało mi się, że ktoś niezmiernie szybko szepnął mi do ucha i uciekł. Może to była straszna tajemnica, bo odtąd stałem się smutny. Powietrze tego zamku nie służy mi. Wszystko w mych oczach jest tak

http://rcin.org.pl

małe i melancholijne. Pozostała mi tylko tęsknota i marzenie.

— Jakże pragnę — zaczął towarzysz — przelać w ciebie moją tryumfującą pewność, że życie jest cudem. Ja żyłem nieraz dziwnie i cudnie. Świat jakby się wynurzał we mnie. W mej piersi wisiała kula niebieska, jak w ogromach przestrzeni. Nie zakwitała jeszcze życiem, ale pełna była pulsującej energii. Mogłem zawinąć rękawy i tworzyć: bogów, demonów, złych duchów, koboldów, syreny, nimfy, rusałki, aniołów. Kwilenie ptaka na gałęzi i rzężenie umierającego miałem w sobie. Wszystko mogłem! Wbijałem oczy w modrość niebieską, inne widywałem światy i taką od tego płonąłem rozkoszą, że dotykałem włosów, czy się nie palą. Przesiadywałem godzinami, ciesząc się szczęściem nieokreślonem a bezbrzeżnem, bezbożnem szczęściem, które, zda się, zrabowałem wszystkim nieszczęśliwym. O zmierzchu tłumy duchów sunęły nademną, koło mnie. Niekiedy odsłonił się rąbek i widziałem oczy promienne doskonalszą rzeczywistością. To znów chwytała mnie tęsknota i płakałem z bólów ciemnych. Pytałem siebie: „Co się dzieje? Jakie wielkie nieszczęście się stało?“ Potem schodziła na mnie radość szalona. Biegłem z wiatrem na wyścigi, wdrapywałem się na drzewa; słuchałem, jak las szumi, jak dzięcioł kuje, śpiewałem i śmiałem się... Me serce było to okrutne, to tkliwe. Roiłem w snach, że walczę z czemś ciężkiem, nieokreślonem, bezkształtnem. Widywałem czekające, rozwarte ślepie i stawałem do boju. Lepkie, włochate macki obwijały

http://rcin.org.pl

się dokoła mej-szyi. Odrywałem je, rzucałem cielskiem o ziemię. Pot lał mi się z czoła. Radosne męstwo biło w piersiach. Wreszcie omdlewał potwór bez nazwy. Ociekając juchą, prychając i mlaskając, rozpraszał się i ginął...

Czy wiesz, mój drogi, co oznacza ten ferment niespokojny i twoja melancholja? Że jesteśmy bracia, że obaj chcemy innego świata. My go stworzymy, prawda?... Daj rękę. Wzywam twoją duszę, by zmartwychwstała! Czy odpowiesz mi: nie? Los cię przeznaczył na to, byś żył na ruinach, lecz ty możesz i losowi rzec: nie chcę! Przeszłość może być tylko przytułkiem dla znużonych, przyszłość — wszystkiem!

— Ty mnie wzywasz, mnie? Czyż ja nie jestem już upiorem? — zapytał don Juan.

— Musisz się odważyć. Nie chcę. Nie będziesz tu umierał. Rzucimy się w wir życia. Pod grozą śmierci nauczysz się pływać. Otaczali cię tacy, którzy niby wiedzą wszystko i którym to ich „wszystko“ wystarcza. Przeklęli, wyplenili dążenie jako rzecz niebezpieczną. Zakrzepli jak krew umarłych. Lecz są i inni ludzie. Poznasz twórców jutra i ich radosną tęsknotę!

— Jeżeli wierzysz we mnie, to weź mnie z sobą — rzekł don Juan.

Młodzieńcy opuścili zamek. Wyszli tą samą furtą, którą tyle razy wymykał się don Juan po marzenia. Teraz wyszedł po nowe życie. Drżenie opanowało go, gdy groźny kadłub gmachu zamajaczył poza nimi w ciemnościach.

Tak don Juan porzucił siedlisko tradycyi, maje-

http://rcin.org.pl

statyczną ciotkę i czterdzieści niewiniątek, posiadających zmysł historyczny!

Jesień płakała w starym parku. Trzeszczały drzewa, jakby roje duchów obsiadały konary, przenosząc się hurmem z miejsca na miejsce.

Przyjaciel podtrzymywał chwiejącego się don Juana. Obrócił się i pogroził zamkowi pięścią. I płonącemi radośnie oczyma patrzył w głąb nocy, w której szemrały ginące liście jesienne.

http://rcin.org.pl

SPIS RZECZY.

	Str.
Zuzanna	1
Semiramis	9
Judyta	15
Sodoma	25
Wasthi	35
Wygnanie z raju	45
Żona Putyfara	61
Kara	79
Słońce	101
Żądza	111
W godzinie żalu	123
Ślepa królewna	141
Tryumf Ar-Idona	157
Uwiedziony	171
Don Juan zagrożony, czyli Potęga tradycyi	187

http://rcin.org.pl

Fundacji Im. J. J. Michalskich
Ze zbiorów

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Lwowska Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

http://rcin.org.pl

J. Barbey d'Aurevilly

ZEMSTA KOBIETY

i inne utwory z cyklu

„Diaboliques"

Przekład Leona Choromańskiego

Okładka Felicjana Ropsa

(W druku)

http://rcin.org.pl

J. Barbey d' Aurevilly

ZEMSTA KOBIETY

i inne utwory z cyklu

„Diaboliques"

Przekład Leona Chromańskiego

Okładka Feliciana Ropsa

(w druku)

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
478